



Helen R. Myers

W blasku księżycyca

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Bardzo mi przykro, Worth. Między nami wszystko skończone.

Połączenie zostało przerwane, a Worth jeszcze przez chwilę siedział przy biurku ze słuchawką w rękę i wpatrywał się w ciemną przestrzeń swego gabinetu. Nie cierpiał, bo przecież wcale nie kochał Eriki. Był tylko zdziwiony.

A więc o to jej chodziło, kiedy wybierała się w całą tę podróż po Europie. Erica Landon, kobieta, z którą spotykał się mniej więcej od dwóch lat, zostawiła go dla Wenera Strassela, niemieckiego bankiera. Wszystkie specjalistyczne pisma przedstawiały go jako biznesmena, który od upadku Muru Berlińskiego robi najlepsze interesy z krajami bloku wschodniego.

Akurat dla Strassela! Dla faceta, który musi być o ponad dziesięć lat starszy od trzydziestosześcioletniego Wortha i sporo niższy. Co więcej, na każdym zdjęciu prasowym było aż nadto wyraźnie widać, że ten finansowy potentat ma ogromną słabość do popularnego w jego ojczyźnie piwa. Worth oczywiście wiedział, że wygląd rywala w najmniejszym stopniu nie wpłynął na decyzję Eriki. Nie, zależała ona wyłącznie od owego dodatkowego zera na koncie miliardera. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

- Ciekawe, ile trzeba mieć, żeby uznała człowieka za bogatego? - warknął do milczącego telefonu.

Rozgoryczony rzucił słuchawkę z powrotem na widełki. Jeśli o to Ericę chodzi, to niech bierze tego markoroba. Niech sobie tylko nie myśli, że odchodząc od Wortha Harrisona Drury'ego IV, wzbudzi jego zazdrość.

Musiał jednak przyznać, że nigdy jeszcze nie był w takiej sytuacji.

Do tej pory to zawsze on kończył znajomość, szczególnie gdy zorientował się, że kobieta liczy na małżeństwo, którego w ogóle nie brał pod uwagę. Zazwyczaj do uświadomienia sobie tego faktu wystarczało mu kilka spotkań. W przypadku Eriki, o dziwo, zabrało mu to prawie dwa lata. To pewnie dlatego czuł się urażony. Szczerze mówiąc, zaczynał już nawet rozważać możliwość spędzenia z nią reszty życia. Zgadali się ze sobą w tylu sprawach.

Albo przynajmniej tak mu się wydawało.

„Wiem, o czym myślisz, Worth, ale to nie tylko sprawa pieniędzy. Wychodzę za Wenera, bo wie, co znaczy słowo czułość. Czułość i namiętność”.

Czułość, prychnął Worth. Od kiedy to Erica bardziej ceni czułość niż brylanty czy nowe sportowe auto? Czy sama nie mówiła kiedyś, że jego zrównoważenie i realizm w ich stosunkach bardzo jej odpowiadają?

A co do namiętności... Chętnie by jej pokazał, na co go stać. Z radością oddałby swe kwartalne dywidendy za półminutowe zaciśnięcie rąk na szyi tej wiedźmy!

O, nie, nie uda jej się uspokoić swego sumienia, insynuując, że to on nie zaspokajał jej potrzeb emocjonalnych. Na koniec nareszcie zaprezentowała mu prawdziwą siebie, zresztą jak wszystkie przed nią. Była samolubną, chciwą piranią, która wreszcie znalazła sobie większy staw do żerowania. Jeśli o niego chodzi, to w gruncie rzeczy zrobiła mu

przysługę i wcale go nie obchodzi, gdzie spędzi miesiąc miodowy. Może to być nawet hol ulubionego szwajcarskiego banku Strassela.

Kobiety. Dlaczego wciąż zawraca sobie nimi głowę? Mimo iż na samym początku każdej znajomości zawsze powtarzał, że nie wierzy w puste miłosne deklaracje i w publiczne manifestowanie uczuć, że, według niego, prawdziwy związek oparty powinien być na wzajemnym szacunku i zrozumieniu, każda z kobiet, z którymi kiedykolwiek się spotykał, wcześniej czy później próbowała przerobić go na potulnego, uległego mięczaka, czego serdecznie nienawdził.

Miał już tego po dziurki w nosie. Nie ma takiej kobiety, dla której gotów byłby zrezygnować ze swoich zasad. Niech pozostanie to przywilejem Chase'a, który stale szarga ich nazwisko licznymi romansami.

Wzruszeniem ramion odsuwając od siebie te niemiłe myśli, Worth rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu i skierował wzrok na stojącą na biurku kryształową statuetkę. Przyglądanie się Galatei zawsze go uspokajało. Dziś jednak wywołało w nim jakieś dziwne, znane mu już jednak uczucie.

Pierwszy raz doświadczył go, kiedy przechodził obok tego małego, zakurzonego sklepiku i zobaczył ją na wystawie. Poczul najpierw zdziwienie, że ta współczesna rzeźba znalazła miejsce wśród antyków... a potem tęsknotę. Tęsknotę, którą ukrywał przed całym światem, bojąc się, że gdyby ktoś się o niej dowiedział, wykorzystałby ją, by nim manipulować, a może nawet go zniszczyć. Uznał, że nie ma wyboru i musi kupić statuetkę. I to natychmiast.

Wszyscy, którzy ją widzieli, gratulowali mu gustu. Tylko ta cenna figurynka wiedziała, dlaczego musiał ją kupić i dlaczego odczuwał taki głód, kiedy ją pieścił. Powodem nie była

jej wartość jako inwestycji, lecz fakt, że nigdzie nie mógł znaleźć jej ludzkiego odpowiednika.

Musi zaniechać prób.

Worth odwrócił wzrok. Nie mógł jej dzisiaj dotknąć. Był nadto zły. Zbyt rozczarowany samym sobą. I generalnie życiem.

Nagle wstał i wyjął z kieszeni klucze do auta. Nerwy nie pozwalały mu dłużej usiedzieć w biurze. Uznał, że uda mu się wymknąć tylnymi drzwiami i uniknąć odbywającego się w głównej sali dorocznego bożonarodzeniowego przyjęcia Drury Development, Inc.

Ani brat, ani W.H. nie będą za nim tęsknić. Co więcej, każdy z nich jest dużo lepszy w wygłaszaniu toastów niż on.

Marzył o zaciszu własnych czterech ścian. McGuire na pewno rozpalil już ogień w kominku w jego gabinecie. Postanowił do niego zadzwonić, jak tylko wsiądzie do samochodu. Chciał, by służący uprzętnął wszelkie ślady przygotowań do intymnej kolacji, którą miał zamiar zjeść z Ericą po jej przyjeździe z lotniska.

Tak, telefon oszczędzi mu min i komentarzy służącego, kiedy ten dowie się, że Erica nie tylko nie będzie na kolacji, ale że w ogóle zostaje w Europie. McGuire jest znakomitym kucharzem i sprawnym lokajem, ale jego maniery pozostawiają wiele do życzenia.

Z drugiej strony Buckingham Palace naprawdę ma czego żałować. Gdyby ten Anglik umiał lepiej nad sobą panować, nadal służyłby brytyjskiej królowej, a Worth szukał służącego.

Tak, jeden telefon oszczędzi mu zbędnego zdenerwowania. Potem, kiedy tylko znajdzie się w domu, zrobi sobie drinka, usiądzie w ulubionym fotelu i spędzi resztę wieczoru, zachwycając się muzyką swego ukochanego Beethovena.

Na samą myśl o Beethovenie poczuł się lepiej. Erica nie lubiła tego kompozytora i kiedy tylko mogła, słuchała utworów sentymentalnego Chopina czy Debussy'ego.

Dziś pragnął siły i solidności niemieckiego klasyka. Szkoła, że nie zdążył przekonać swej byłej kochanki, że Beethoven to kompozytor zdolny do wyrażenia prawdziwej namiętności.

Zaledwie dziesięć minut później Worth pewną ręką prowadził swe auto pustoszącymi ulicami Bostonu. Pełnia księżycą i zdobiące wszystko świąteczne lampki nadawały miastu surrealistyczny wygląd. Aż trudno było uwierzyć, że jest ósma wieczorem.

Kończąc rozmowę z McGuire'em, Worth zatrzymał się na czerwonym świetle. Z jakiejś restauracji wyszła para i zniknęła w mroku. Z otwartych na moment drzwi popłynęła głośna świąteczna melodia. Kolęda i śmiech były mu równie przykre, jak lodowate powietrze w aucie. Otulił się szczelnie kaszmirowym płaszczem, by odgrodzić się nie tylko od zimna, ale i od widoku czyjegoś szczęścia.

Gotów był się założyć, że już za tydzień ta para będzie narzekać i kłócić się o rachunki, dzieci i wydatki. Ot i cała czułość i namiętność.

Skrećiwszy na następnym skrzyżowaniu w prawo, jechał teraz słabiej oświetloną ulicą. Myślał o paczusce czekającej na Ericę w jego domu. Brylantowa bransoletka, elegancko zapakowana przez jego ulubionego jubilera, pasowała do kolczyków, które dał jej na urodziny.

Trzeba będzie odesłać bransoletkę z powrotem.

Worth zacisnął wargi. Nie lubił zwracać rzeczy, szczególnie zmuszony sytuacją, nad którą nie mógł panować. Czuł się

wtedy tak, jakby w jego procesie decyzyjnym były jakieś... niedoskonałości. Nie znosił najmniejszej nawet wzmianki o tym, że mógłby się mylić. W jakiegokolwiek sprawie. Zbyt ciężko pracował nad unikaniem pomyłek.

Był więc przynajmniej na tyle sprytny, że nie dał Ericce wcześniej jej gwiazdkowego prezentu, mimo że już parę tygodni temu czyniła w związku z tym niezbyt subtelne aluzje. Paskudna, mała... Czy już wtedy planowała tę ucieczkę ze Strasselem? Worth mocno zacisnęła ręce na kierownicy i przyspieszył. Bardzo chciał być już w domu. Jeśli ta wyrachowana wiedźma myślała, że mimo wszystko uda jej się zachować tę bransoletkę, to czekało ją bardzo nieprzyjemne rozczarowanie. Szczerze mówiąc, Worth nie wahałby się...

- Cholera jasna!

Postać wynurzyła się nagle z ciemności i ruszyła prosto przed maskę jego auta. Worth skręcił kierownicę maksymalnie w lewo, próbując wyminąć ją z tyłu. Równocześnie mocno nacisnął hamulce. Na szczęście ulica była pusta.

Zdał sobie jednak momentalnie sprawę, że mógłby zrobić nawet dziurę w asfalcie, a i tak nie udałooby mu się w porę zatrzymać. Wypadek był nieunikniony.

Zadrzał, kiedy rozległ się głuchy, tępy odgłos ludzkiego ciała uderzającego o metal. Na ułamek sekundy przemknęła mu przed szybą drobna, blada twarz... a potem chłopak uniósł się w górę i zniknął w ciemnościach.

Auto zatrzymało się gwałtownie. Worth włączył długie światła i wyskoczył z samochodu.

Gdzie on jest? Wzdłuż ulicy stały tylko zaparkowane auta. Ofiary nie było widać.

O fi ar y... O Boże!

Wtedy usłyszał jęk.

Natychmiast rzucił się w kierunku, skąd dochodził. Od razu zauważył skuloną postać, wciśniętą pod niewielką furgonetkę. Z bijącym sercem i ściśniętym gardłem przykucnął przy zderzaku pojazdu.

- Co ci jest, synu?

- Ty stary skur... - Resztę przekleństwa stłumił kolejny jęk.

Dzieciak był więc ranny, ale przynajmniej mógł mówić.

- Spokojnie - mówił łagodnym tonem Worth. - Wszystko będzie dobrze.

- Odczep się ode mnie, ty... ty... kretynie.

Przykrość, jaką sprawił mu ten epitet, była nieporównywalna z odrazą, którą czuł, wachając to, w czym leżał chłopak. Mały. wylądował w rynsztoku pełnym śmierdzącego szlamu. Najwyraźniej jakiś sklepikarz polewał niedawno chodnik na zapleczu swego sklepu i to, co zmył, nie dotarło do najbliższej studzienki.

- Wiem, że cię boli i że bardzo cię przestraszyłem - rzekł Worth, którego poczucie winy zobojętniło na grubiaństwo ofiary. - Teraz jednak przede wszystkim muszę wyciągnąć cię z tego świństwa. Czy dasz radę sam się stąd ruszyć?

- Jak będziesz mi blokował drogę, to nie.

Powstrzymując irytację, Worth lekko się odsunął. Kiedy chłopak poruszył się, natychmiast wyciągnął rękę, by mu pomóc.

- Uważaj na głowę! - krzyknął.

Za późno. Głośny stuk powiedział mu, że głowa chłopaka zetknęła się z zardzewiałym zderzakiem furgonetki.

- Oj! Dlaczego się stąd...

Reszta wypowiedzi - propozycja zupełnie nowa dla Wortha i w dodatku dość szokująca - była nie do końca słyszalna.

Chłopak bowiem wtulił twarz w mokry, brudny rękaw swej kurtki, która nawet w ciemnościach wyglądała na za dużą o co najmniej kilka numerów.

Worth skrzywił się, ale właściwie nie wiedział, jak zareagować. Przypomnił sobie, co sam czuł, kiedy jako dziecko zrobił sobie krzywdę. Nie miał wtedy ochoty, by ktokolwiek, szczególnie dorosły mężczyzna, użalał się nad nim. Chłopak miał na głowie grubą wełnianą czapkę, może więc się jednak nie skaleczył.

- No, spróbuj jeszcze raz - zachęcał go.
- Spadaj, dobrze?

Gdyby tylko mógł to zrobić. O niczym bardziej nie marzył. Zaczynał żałować, że nie został na biurowym przyjęciu.

W końcu uznał, że jedynym sposobem, by cokolwiek osiągnąć, będzie odwrócenie uwagi chłopca od bólu.

- Chętnie. I z przyjemnością - mruknął. - To znaczy, jak już wyciągnę pewną niegrzeczną osobę spod tego żelastwa.
- Jak mnie nazwałeś?
- Chcę się upewnić, że brak dobrego wychowania jest jedyną rzeczą, której mógłbym ci współczuć.
- Świnia.
- To ciekawa obserwacja, drogi przyjacielu, biorąc pod uwagę, że to ty cały jesteś unurzany w pomyjach.

Obrana taktyka odniosła pożądany skutek. Już po chwili chłopiec, jęcząc co prawda i postępując, wysunął się spod furgonetki.

Nadjechało jakieś auto, na moment zwolniło, a potem szybko odjechało. Worth nie zwrócił na nie szczególnej uwagi. Była to co prawda jedna z bezpieczniejszych dzielnic, noc jednak zmieniała wszystko. Mimo wigilii ludzie nie mieli ochoty mieszać się do spraw innych.

Siedzący teraz chłopak wyglądał jak strach na wróble. Podarte tenisówki, obszarpane dżinsy, wytarta kraciasta kurtka i wełniana czapka, wszystko na dodatek upačkane cuchnącą, szarobrazową mazią.

- Jak się czujesz? - spytał Worth. - Kości masz całe?

- A co cię to obchodzi? Boisz się, że cię zaskarżę do sądu? Chyba rzeczywiście mogę to zrobić, bo jechałeś za szybko.

- Nie jechałem za szybko - odparł Worth, lekko zaniepokojony. Czyżby trafił na naciągacza? - To ty, nie patrząc, wyskoczyłeś na jezdnię. Powiedz mi, ile ty właściwie masz lat?

- Nie twoja sprawa.

Jest młodziutki, pomyślał Worth.

- Chcę ci tylko uświadomić, że obaj mieliśmy szczęście. Mogło być dużo gorzej.

- Mam wystarczającą tego świadomość. I chcę ci przypomnieć, że to ja jestem ofiarą. Czyżbyś już zapomniał?

- Gdybyś został poważnie ranny, twoja rodzina miałaby zmarnowane święta.

- Na samą myśl aż chce mi się płakać.

Worth wiedział, że do takich dzieciaków jak ten przemawia bardziej siła mięśni niż rozumu.

- Dobra, przyjacielu, niech ci będzie. - Bez ostrzeżenia chwycił chłopaka za kołnierz i postawił na nogi. - Pozwól, że poinformuję cię o kilku rzeczach. Po pierwsze, dla mnie to też nie był najlepszy dzień. Po drugie, jesteś najbardziej pyskатыm smarkaczem, jakiego widziałem. A więc, mimo że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, przypominam ci, że nie uciekłem z miejsca wypadku. Domagam się więc odrobiny współpracy.

Worth był bardzo zadowolony ze swej przemowy i prze-

konany, że udało mu się ugłaskać chłopaka. Nie wziął tylko pod uwagę, jak poważnie dzieciak był ranny. Przekonał się o tym, kiedy puścił jego kołnierz.

Ofiara wypadku natychmiast z jękiem padła na chodnik. Przerażony Worth przykucnął obok. Od razu zauważył dużą dziurę w podartych dżinsach chłopaka... jego skaleczone głęboko kolano... i krew. A ten dzieciak przecież tyle czasu leżał w ścieku.

- Na miłość boską, pytałem przecież, czy jesteś ranny!
- krzyknął.

Chłopak milczał. Obejmował zranioną nogę i kołysał się w przód i w tył. Worth zauważył jednak jego stężale z bólu rysy. Gdyby nie bał się ciosu, chętnie by go utulił lub chociaż poklepał po ramieniu.

- Chcesz, żebym do kogoś zadzwonił? - Aż sam się zdziwił czułością swego tonu. - Mam telefon w samochodzie.

- Nie.

- Może wezwać pogotowie?

- A może byś tak zniknął mi z oczu!

To właśnie coś takiego wyrasta czasem ze słodkich niemowląt, pomyślał Worth. A mimo to jego ojciec wciąż domaga się wnuków.

- Możesz być pewien, że niczego bardziej nie pragnę. Niestety, sumienie mi na to nie pozwala. - Spojrzał jeszcze raz na umorusanego chłopaka i podjął decyzję. - No, dobrze. Skoro nie pozwalasz mi wezwać pomocy, wsadzę cię do auta i sam zawiozę do szpitala.

- Nie pojedę do żadnego szpitala!

Głos chłopaka był tak piskliwy, że Worth uznał, iż nie może mieć więcej niż trzynaście lat.

Już widział nagłówki jutrzejszych gazet: „Bostoński poten-

tat finansowy morduje niewinne dziecko. Rodzina żąda odszkodowania. Bankructwo dynastii Drurych".

- Zapewniam cię, że pokryję wszystkie koszty - rzekł sucho.

- Żadnego szpitala.

Co ten smarkacz sobie wyobraża?

- W porządku. Wobec tego odwiozę cię do domu - zdecydował w końcu.

- Nie ma mowy.

- To nie jest sprawa do dyskusji.

- Daj sobie spokój. Nie mieszkam na tej dzielnicy.

Worth z trudem powstrzymał się, by go nie poprawić.

- Kilka przecznic w tę czy w tamtą nie robi różnicy.

- Facet, czy mam ci to przeliterować?

- Poprawna angielszczyzna wystarczy.

Chłopak zmrużył oczy. Pociągnął nosem i wytarł go w rękaw.

Worth zamknął oczy i pytał Boga, czym sobie na to zasłużył.

- Nie rób tak, proszę.

- Jak?

W innej sytuacji Worth na pewno by się roześmiał. Teraz jednak wcale nie było mu do śmiechu.

- Nieważne. Zrozum w końcu, że nie zostawię cię, dopóki cię nie umyjemy i nie zobaczymy, co ci dokładnie jest. Mam również zamiar zadzwonić do twoich rodziców i powiedzieć im, co się stało.

- To niemożliwe.

- Dlaczego? Nie ma ich w domu?

- Taa... Coś w tym sensie.

- To kto się tobą opiekuje?

Chłopak lekko wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

Worth zaczynał już tracić cierpliwość.

- Daj mi sobie pomoc, dzieciaku. Kto? - powtórzył nieco łagodniej.

- Jesteś beznadziejny, wiesz o tym? - Chłopak znowu smarknął i naciągnął czapkę.

- Mów sobie, co chcesz, skoro musisz, ale nie pozbędziesz się mnie, dopóki mi nie odpowiesz. Z kim mieszkasz?

- Skoro musisz koniecznie wiedzieć, to opiekuję się moim dziadkiem.

On się opiekuje. Nie odwrotnie.

- A gdzie jest twój dziadek? - spytał Worth.

Kiedy chłopak niechętnie wymienił nazwę dzielnicy, w której mieszka, Worth poczuł niesmak na samą myśl o konieczności odwiedzenia tej okolicy.

- Dziadek jest chory i nie może pracować, więc ja zajmuję się naszą dwójką - oznajmił chłopak, jakby wyczuł dezaprobatę.

Jaką pracę mógł wykonywać taki mały dzieciak, by nakarmić dwie osoby i zapewnić im dach nad głową? Nic dziwnego, że wyrósł na takiego twardziela. Co więcej, dzielnica, którą wymienił, znajdowała się jakieś trzy kilometry dalej, w okolicy już dość niebezpiecznej. Worth nie mógł pozwolić, by chłopak, szczególnie w takim stanie, udał się tam sam.

- Wobec tego zabieram cię do siebie - zdecydowanie przejął kontrolę nad sytuacją. - Najpierw cię umyjemy i opatrzymy, a potem będziemy się martwić o resztę.

- Nie dotykaj mnie!

Zabrzmiało to bardzo po kobiecemu i rozśmieszyło Wortha, ale nie powstrzymało od działania. Wziął chłopaka na rękę i zaniósł do auta.

Dzieciak, jak można było podejrzewać, ważył niewiele. Czasami teczka Wortha bywała cięższa.

- Tylko spróbuj dotknąć tej klamki, a pożałujesz - warknął, zatraskując drzwiczki. - Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale nie pozwolę, byś sam włóczył się po tej okolicy. Daję ci słowo, że jak tylko opatrzymy ci nogę, odwiozę cię, dokąd zechcesz, zgoda?

Nie doczekał się odpowiedzi. Chłopak jednak nie próbował już uciekać. Przycisnął się jak najbliżej do okna i zwinął w kłębek.

Worth ruszył i pogрузzył się w rozmyślaniach. Co on, na miłość boską, wyprawia? Wspaniały sposób na spędzenie wigilii. Mógł się tylko pocieszać, że dzieciak nie ma pistoletu ani noża.

- Może powinniśmy się poznać - rzekł, kiedy milczenie stało się już dla niego nie do zniesienia. - Nazywam się Worth Drury. Możliwe, że widziałeś moje nazwisko lub zdjęcie w gazecie.

- Nie czytam gazet.

- Rozumiem. Muszę przyznać, że ja też nie zawsze jestem zachwycony tym, co tam znajduję.

- Nie, chodziło mi... A zresztą, nieważne.

- Nie mówiłem tego, żeby się chwalić, ale żeby cię uspokoić.

- W jakiej sprawie?

- Co do tego, że możesz mi zaufać.

- Zgadza się. Bogaci ludzie nie popełniają przestępstw.

- Niech ci będzie. No, to jak ci na imię?

Małoletni pasażer przez chwilę jakby się zastanawiał.

- Rocky - mruknął w końcu pod nosem.

- Rocky... i co dalej?

- O Jezu. Grimes. A co to za różnica?

Worth spojrział na siedzącego na eleganckim skórzanym fotelu grubo pokrytego cuchnącą mazią chłopaka i natychmiast się skarcił. Ej, Drury, co jest dla ciebie ważniejsze, życie tego chłopaka czy kilka centymetrów świńskiej skóry?

Kiedy zajechali przed dom, Worth poczuł ogromną ulgę. O to samo uczucie podejrzewał zresztą Rocky'ego.

W progu powitał ich, jak zawsze czujny, choć nieco zdziwiony McGuire i pomógł mu wprowadzić lekko opierającego się gościa na górę.

- Czy to znaczy, że jednak mam przygotować kolację na dwie osoby, proszę pana? - spytał służący, obrzucając chłopca zaciekawionym spojrzeniem.

To w takich chwilach Worth zastanawiał się, czemu właściwie trzyma u siebie tego człowieka... bo nie tylko dlatego, że prawie natychmiast potrafi przygotować najwspanialszą ucztę.

- Nie zapominaj, że jeszcze nie dałem ci bożonarodzeniowej premii - odparł sucho. - A co do naszego gościa, to jest to pan Rocky Grimes, który miał taki kaprys, by na moment znaleźć się na masce mego auta.

- No tak, kiepsko trafiłeś, mały. Pan Drury nie jest zwoleńnikiem krzykliwej reklamy - poinformował chłopaka McGuire.

- Ponieważ nasz gość nie pozwolił zawieźć się do szpitala, uznałem, że możemy go przynajmniej umyć przed odwiezieniem do domu - wyjaśnił Worth.

- Chce pan powiedzieć, że tak właśnie spędzę resztę wieczoru? Wigilii? Czyszcząc tego zapaskudzonego dzieciaka?

Z miną, jakby właśnie zaciągnął się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej, McGuire zamknął drzwi.

- A kto cię o to prosi? - burknął chłopak i ruszył ku drzwiom. - Nawet się nie waż mnie tknąć. Chcę natychmiast stąd wyjść.

- Nawet nie dasz rady zejść ze schodów - poinformował go Worth. W słabym świetle holu kolano dzieciaka wyglądało jeszcze gorzej.

- Chcę wyjść. Tu nie jest moje miejsce.

- Nikt tego nie twierdzi - odparł Worth i skrzywił się, bo dobiegł go unoszący się wokół chłopaka zapach. - Chcemy tylko, byś mógł wyjść stąd w nieco lepszym stanie. McGuire, zabierz go do mojej łazienki. Kiedy już się umyje, daj mu coś do ubrania, a te jego wstrętne łachmany od razu spal.

- Znakomita rada, proszę pana. Ale... - Mc Guire podrapał się po nosie. - Mam go zabrać na górę? Pobrudzi dywany, a ja właśnie...

- Na miłość boską, jak jesteś taki delikatny, to zrobisz to sam.

Znicierpliwiony Worth znowu wziął chłopaka na ręce i ruszył na górę.

- A ty chociaż przygotuj mu coś do jedzenia - rzucił przez ramię.

W sypialni na piętrze paliło się światło, łóżko też było już rozścielone. Worth przeszedł przez pokój i wszedł do łazienki. Posadził swego wojowniczego gościa na szafce i napuścił wody do wanny.

- Zdejmij te rzeczy. Chcę obejrzyć twoje kolano. Potem znajdę ci coś do ubrania. Rozmiar może nie będzie idealny, ale jakość na pewno lepsza od tego, co masz na sobie.

Chłopak ani drgnął.

- No, na co czekasz?

- Żebyś wyszedł.

Chyba żartuje! Czy wydaje mu się, że w jego budowie jest coś wyjątkowego?

Worth spojrział na chłopaka i zrozumiał, że ten nie zmieni zdania.

- No dobrze, niech ci będzie. A jeśli planujesz coś ukraść, to...

- Nie jestem złodziejem! - krzyknął chłopak.

W jego głosie brzmiała jakaś dziwna duma. Zawstydzony Worth ruszył ku drzwiom.

- Wychodzę, ale będę tuż obok. Jak będziesz czegoś potrzebował, krzycz.

Zamknął za sobą drzwi, zmrużył oczy i pokręcił głową. Sam nie mógł uwierzyć, że przyprowadził do domu kogoś zupełnie obcego!

Podszedł do szafy i zaczął szukać czegoś odpowiedniego do ubrania.

Wymował właśnie sweter, kiedy usłyszał jakiś hałas. Po-tem krzyk i plusk.

Spodiewając się najgorszego, przebiegł przez pokój, otworzył drzwi do łazienki i... W jego wannie leżała przerażona młoda kobieta. Naga, młoda kobieta w jego wannie.

- O, Boże! - wykrzyknęły jednocześnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tuż przed ponownym zanurzeniem się pod wodę - tym razem celowym - Rocky zobaczyła, jak Worth Drury obraca się na pięcie i pokazuje jej swoje plecy. Nie miało to dla niej znaczenia. Wciąż zbyt zła, by być mu za to wdzięczna, chwyciła pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w ręce, wielką gąbkę, którą straciła do wody przy upadku, i rzuciła w jego stronę.

- Wynoś się stąd! - krzyknęła.

Był to bardzo celny rzut. Mokry pocisk ugodził Wortha w kark.

- Hej! - krzyknął i już się odwracał, kiedy uświadomił sobie swój błąd i znów ruszył do sypialni. - Postępujesz bardzo niegrzecznie, młoda damo.

- I tak masz szczęście, że nie.. .nie... Aapsik!

Kichnięciu towarzyszył gwałtowny ruch i głośny plusk wody wylewanej na podłogę.

- Nic ci nie jest? - spytał ostrożnie Worth.

- A jak myślisz? - mruknęła.

- Widzę, że bardzo się starasz, by tyle samo wody było w wannie, co poza nią.

- Wypchaj się.

Worth westchnął głęboko.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - spytał spokojnie.

- Czy nie wydaje ci się, że zrobiłeś aż nadto, jak na jeden wieczór?

- No, to już przesada. Nic z tego by się nie zdarzyło, gdybyś nie... - Przerwał i chwycił za kłamię. - Czemu nie powiedziałeś mi, że jesteś dziewczyną?

Jego dłonie były duże, ale wypięłgnowane. Nie musiała spoglądać na swoje, by wiedzieć, jak są niepozorne i zaniebane w porównaniu z rękami tego faceta. Oczywiście, wcale jej to nie przeszkadzało. Ciężko pracowała, by utrzymać dwie osoby. Nie miała czasu, by się nad sobą roztkliwiać, jak to robią niektórzy.

- Z tego samego powodu, dla którego nie paraduję w sukni balowej i pantoflach na obcasach - odparła ostro, zmuszając się, by nie patrzeć na jego wspaniałą postać i gęste, brązowe włosy.

Czy ten facet myśli, że ona nie umie dbać o własne bezpieczeństwo? Musi wiedzieć, że w jej dzielnicy bezpieczniej jest udawać biednego chłopca, niż ubierać się jak dziewczyna.

- A dla twojej informacji, to jestem kobietą, a nie dziewczyną.

- Masz też bujną wyobraźnię.

Rocky nie zdążyła zareagować, bo Worth już zamknął za sobą drzwi. Niech się wypcha, pomyślała i nareszcie zrelaksowana zanurzyła się aż po szyję.

Jęknęła cicho. Bolało ją całe ciało. Tak bardzo, że nie chciała nawet na nie spojrzeć, a co dopiero dotknąć. Zrobiła jednak obie te rzeczy - z powodu ostatniej uwagi tego elegancika, Drury'ego. Nie trzeba było mieć wyższego wykształcenia, by zauważyć, że tym trzaśnięciem drzwiami chciał ją podsumować.

Co jest nie tak z moją figurą, pomyślała, zmuszając się, by usiąść i obejrzeć to, co widać było nad powierzchnią wody. Nie była co prawda dziewczyną z okładki „Playboya”, ale jej

wymiary wskazywały wyraźnie, że stała się już dojrzała. Co za kretyn. Co on, mieszkaniec takiego... muzeum, wie o prawdziwych kobietach?

Głęboko urażona, jeszcze raz rozejrzała się po łazience. Jak cała reszta domu była wspaniała... ogromna... luksusowa. Czy to powód, by uważał się za księcia? Przecież omal nie zrobił z niej mokrej plamy. Da mu nauczkę i każe zapłacić za rany i stłuczenia. Tyle tylko, że to zupełnie do niej niepodobne. Przede wszystkim musi wrócić do domu. To przecież dlatego była taka nieuważna.

Przypomniawszy sobie o tym, o czym właściwie podświadomie pamiętała przez cały czas, zaczęła mocno szorować twarz. Im sprawniej się z tym wszystkim upora, tym szybciej dostarczy to dziadkowi.

Dziewczyna, Worth miał ogromne trudności z przyswojeniem sobie tego faktu. Najpierw strasznie przeżył tamten wypadek, a potem w swej własnej łazience natknął się na dziewczynę...

- Jest kobietą.

Trudno było temu zaprzeczyć.

Powinien poczuć ulgę, biorąc pod uwagę kłopoty, w jakich by się znalazł, gdyby okazała się nieletnia. Sama myśl o policji, prawnikach, prasie sprawiła, że oblał się zimnym potem.

A jednak, pod tą wstrętną mazią i poszarpanymi łaćmanami, Rocky Grimes okazała się kobietą, i to wyjątkowo piękną.

Aż mu serce zamarło, kiedy ją zobaczył. Leżała co prawda na wpół zanurzona w wodzie, zauważył jednak jej białe, twarde piersi, szczupłe ramiona i zadziwiająco długie nogi. Mimo że, jak na klasyczną piękność, była trochę za szczupłą, a jej

włosy też wymagały porządnego umycia, by wrócił ich kruczoczarny blask, Worth ze zdziwieniem stwierdził, że nic go tak nie zaskoczyło od dnia kiedy... Wielki Boże, chyba zwa-riował. Porównuje ją ze swą Galateą.

To śmieszne. Worth podszedł do szafy i wyjął sweter. Przed oczami pojawił mu się obraz Rocky unoszącej ramiona i wciągającej tę miękką wełnianą tkaninę na swe nagie, szczupłe ciało. Poza ta tak bardzo przypominała mu postać Galatei, że nie był w stanie powstrzymać pożądania.

A niech to diabli, przecież to jeszcze dzieciak, mogłaby być twoją córką. Ależ z ciebie podła świnia.

Worth zaczął podejrzewać, że po prostu się pomylił. To może blask światła, jej poza, fakt, że chwilę przedtem myślał o Galatei, wywołał to porównanie. Podobieństwo jest tylko powierzchowne.

- Gdzie mam to postawić, proszę pana?

Zakłopotany Worth odwrócił się gwałtownie i ujrzał w drzwiach lokaja ze srebrną tacą. Wskazał mu stojący niedaleko drzwi do łazienki stolik i wtedy wpadł mu do głowy pewien pomysł.

- McGuire, ty nosisz dzinsy, prawda?

- Tylko w wolnym czasie. - Służący stał prawie na baczność. - Przysięgam!

- Nie interesuje mnie, kiedy, tylko czy w ogóle je nosisz. Potrzebna mi jedna para.

- Pan chce je włożyć?

- Będą na nią na pewno za duże, ale ty i tak jesteś ode mnie niższy. Dasz mi je? Nie bój się, przecież ci zapłacę - dodał szybko, bo lokaj nadal gapił się na niego z otwartymi ustami.

- To nie o to chodzi, proszę pana. Czy pan powiedział „na

nią"? - wyjąkał i szeroko otwartymi oczami spojrzął na drzwi do łazienki. - Chce pan powiedzieć, że ten dzieciak jest płci żeńskiej?

- Wiele rzeczy można o tobie powiedzieć, McGuire, ale na pewno nie jesteś głuchy.

- O, to bardzo uprzejme z pana strony. - Służący był wyraźnie zadowolony. Po chwili jednak ciekawość zwyciężyła. - Czy mogę zapytać, w jaki sposób odkrył pan, że nasz gość jest, hm...?

- Nie możesz. Daj mi teraz te spodnie, dobrze? Proszę - dodał.

McGuire wyszedł, a Worth zaczął marzyć o drinku. Nic z tego. Wkrótce będzie musiał odwiedzić Rocky, czyli pannę Grimes do domu, i wołał nie ryzykować.

Nie minęła minuta, a McGuire był już z powrotem. Worth wziął dzinsy i sweter, podszedł do drzwi łazienki i cichutko w nie zastukał.

-Hej?

- Nie waż się tu wchodzić!

- Ostra kobitka, co? - skomentował McGuire.

- Może być już jednak sobie poszedł, dobrze? - Worth obrzucił go chłodnym spojrzeniem. - Sam dam sobie radę.

- Może być panu potrzebny świadek.

- Czego?

- Gdyby ta spryściuła... to znaczy ta młoda dama... pana o coś oskarżyła. Akurat parę dni temu czytałem w gazecie podobną historię.

- Daruj sobie, McGuire - warknął Worth.

- Tak jest. Czy będzie panu jeszcze coś potrzebne? Skarpetki? Bielizna? Mógłbym...

- Wyjź.

- Natychmiast. Będę w kuchni, gdyby pan mnie jeszcze potrzebował.

- Przygotuj lód w gabinecie, kiedy wrócę po odwiezieniu panny Grimes.

McGuire z podejrzliwym uśmiechem opuścił w końcu pokój.

Worth spojrział na trzymane w rękę ubranie, a potem na drzwi do łazienki. Wiedział, że musi je otworzyć, jeśli chce podać jej te rzeczy.

Zastukał jeszcze raz.

- Idź sobie!

- Chcę ci podać ubranie.

- Jeśli tylko dotkniesz kłamki, zacznę wrzeszczeć.

Możliwość, że ktoś z sąsiadów usłyszy jej krzyk i zadzwoni po policję, wymagała rozważenia. Worth nie mógł jednak pozwolić, by dziewczyna opuściła jego dom w tych podartych, śmierdzących ciuchach.

- Krzycz sobie, jeśli musisz, ale wrzucam ubranie do środka.

Ostrożnie odwracając głowę, uchylił lekko drzwi; na tyle, by zmieściło się ubranie. W nagrodę za swój dobry uczynek spodziewał się kolejnego pocisku, tym razem jednak przyjemnie się rozczarował.

Wdzięczny, choć zaciekawiony, poszukał w lustrze odbicia jej postaci. Owinięta po czubek nosa grubym ręcznikiem wyglądała jak skrzyżowanie zakonniczki z hurysą.

Zawstydzony własnym skojarzeniem, Worth szybko wycofał się i zamknął drzwi.

- McGuire przyniósł ci jedzenie - zawołał. - Pospiesz się, bo wystygnie.

Nie odpowiedziała.

Przez kilka minut Worth spacerował po sypialni. Nasłuchiwał odgłosów dochodzących z łazienki i zastanawiał się, co powinien powiedzieć, kiedy Rocky stamtąd wyjdzie. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by zapomniał języka w gębie, ale i po raz pierwszy w życiu spotkał kogoś takiego jak Rocky Grimes. O, Jezu, co za imię! Jaki kłopot!

Miał wrażenie, że czeka wieczność, podszedł więc w końcu do drzwi i chciał zapukać. Nie zdążył. Drzwi otworzyły się, a on nie był w stanie wykrztusić słowa.

Rocky miała na sobie ubranie, które jej dał, w rękę trzymała węzełek zrobiony z jej własnych ciuchów. Tulila go do siebie jak królewskie klejnoty. To jednak ona sama sprawiła, że Worth zaniemógł z wrażenia.

Czarne, sięgające do pasa włosy okrywały jajak jedwabny płaszcz i błyszczały tym samym granatowym blaskiem, co jej oczy. Skóra, która przedtem wydawała mu się zaledwie błada, w rzeczywistości była półprzezroczysta, jak najdoskonalsza porcelana. Twarz, którą z początku określilby po prostu jako młodą, nazwałby teraz urzekającą -prosty nos, wydatne kości policzkowe, usta w kształcie kwiatowych płatków... Podobna do Cyganki lub leśnej nimfy. Nie, sprostował, kiedy Rocky była już blisko niego, prawdy nie da się uniknąć. Rocky naprawdę podobna jest do Galatei.

- Pomyślałam, że buty włożę już na dole - powiedziała, wskazując trzymane pod pachą tenisówki.

Worth spojrział na delikatne palce wystające spod za długich dzinsów.

- Nie ma sprawy - odparł, z trudem wypowiadając poszczególne wyrazy. - Może odłożysz na razie te rzeczy i zjesz coś?

Rocky rzuciła tęskne spojrzenie w kierunku rozsiewającej smakowity aromat tacy, ale pokręciła głową.

- Muszę już iść.

- Nie możesz wyjść z mokrymi włosami. Przeziębisz się. W telewizji zapowiadali spadek temperatury. Zanim dotrzemy do twego domu, pewnie będzie już padał śnieg.

Rocky wyjęła coś z tylnej kieszeni.

- Włożę czapkę.

Worth skrzywił się, widząc, jak szorstka, matowa wełna skrywa jedwabisty, połyskliwy płaszcz czarnych włosów.

- Kilka łyżek zupy i kęs kanapki na pewno nie...

- Muszę coś szybko dostarczyć - mruknęła. Była wyraźnie spięta i zdenerwowana.

Im mocniej przyciskała do siebie węzełek, tym bardziej Worth stawał się podejrzliwy. Czyżby jednak coś ukradła? W łazience nie było chyba nic wartościowego, chyba że... Może zostawił tam sygnet lub spinkę do krawata?

- Co tam chowasz? - spytał.

- Nic.

A więc jednak uległa pokusie. Worth był wyraźnie rozczarowany.

- Odlóż to na miejsce i uznamy, że nic się nie stało.

- Chyba zgłupiałeś - odparła i ruszyła ku drzwiom. - Nie mam nic twójgo, oprócz tych ubrań, które mi dałeś.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Worth chwycił ją za ramię. Wypuściła tenisówki, ale węzełek nadal mocno tuliła do siebie. - Lepiej się przyznaj, młoda damo, bo inaczej będziesz musiała porozmawiać z kimś mniej przyjemnym ode mnie.

- To moje i nic ci do tego!

- Mylisz się, moja droga. To mój dom i obchodzi mnie wszystko, co się w nim dzieje.

Gwałtownym ruchem wyrwał jej węzełek i wytrząsnął z niego małą fiolkę.

- A więc jesteś jeszcze gorsza, niż myślałem - rzekł ze wstrętem.

- Nie! - krzyknęła Rocky i schyliła się po swój skarb.

Worth był szybszy. Chwycił fiolkę i trzymał ją teraz wysoko nad głową.

- W moim domu nie toleruję narkotyków.

- Oddaj mi to, ty... - Podskakiwała, próbując dosięgnąć fiolki. - Muszę to odzyskać.

- Domyślam się. Nie ma na świecie niczego bardziej żalospnego niż ćpun.

- Nie jestem ćpunką!

W złości była jeszcze bardziej czarująca. Wortha uderzył smutek całej sytuacji. Tak to bywa w tych czasach.

- Uspokój się i ciesz się, że jeszcze nie zadzwoniłem po policję.

- Możesz sobie dzwonić. Tyle że to ty wyjdiesz na idiotę.

- Nie przeciągaj struny. Tylko dlatego, że dziś jest wigilia i...

- To insulina, ty kretynie!

Worth znieruchomiał. Oszołomiony spojrzał na trzymaną w ręce fiolkę. Kiedy stwierdził, że Rocky mówi prawdę, nie wiedział, czy jest mu bardziej głupio, czy też czuje ulgę. Po chwili ogarnęło go jeszcze jedno uczucie - ostatnio bardzo rzadko odczuwane. Litość.

- Jesteś chora na cukrzycę?

- Nie ja. Badger.

- Kto to jest Badger?

- Mój dziadek - burknęła i wyciągnęła rękę. - Daj mi to. Muszę wracać do domu i zrobić mu zastrzyk. On sam nie umie, a od ostatniego zastrzyku minęło już bardzo dużo czasu. To niebezpieczne.

Worth, który do tej pory wpatrywał się w płonące, błękitne oczy, spojrział teraz na jej drżącą rękę i podjął decyzję. Oddał Rocky jej własność.

- Odwiozę cię.
- Mówiłam ci, że moja dzielnica...
- Jest urocza - dokończył za nią Worth. - Dzięki za przypomnienie. Jestem pewien, że ten wieczór przejdzie do historii mego życia jako wyjątkowo pouczający, a może i najwesełszy. A teraz ruszamy. Weź choć kanapkę na drogę. Szkoda, żeby się zmarnowała.

Po kilku minutach siedzieli już w aucie. Rocky niechętnie udzieliła mu wskazówek, jak dotrzeć do jej domu. Worth przypomniał sobie, przez co przeszła tego wieczora. Najpierw omal jej nie rozjechał, potem wszedł bez zapowiedzi do łazienki i zaskoczył ją nagą, w końcu uznał ją za złodziejkę i narkomankę. Co jeszcze złego mógł jej zrobić?

- Wiem, że to za mało, by naprawić krzywdy, które ci wyrządziłem, ale przepraszam - mruknął, kiedy stało się jasne, że Rocky nie ma zamiaru z nim rozmawiać.

Westchnęła głęboko, jakby miała zamiar mu odpowiedzieć, ale odwróciła tylko głowę i wyglądała przez boczną szybę.

Worth skupił się na ruchu ulicznym. Uznał, że powinien na razie zostawić ją w spokoju.

Zgodnie z prognozą zaczął padać śnieg. Ci, którzy wierzą w cuda i świętego Mikołaja, będą zachwyceni. Worth od dawna nie wierzył ani w jedno, ani w drugie i zastanawiał się, czy jego pasażerka też.

- Z czego się utrzymujesz? - spytał, bo ciekawość zwyciężyła. - Insulina nie jest tania.

- Nie sprzedaję się, jeśli o to ci chodzi, tępaku.

Niewielu ludzi odważyłoby się tak do niego mówić - nawet Chase i McGuire wiedzieli, że istnieją granice, których przekroczyć im nie wolno - Worthowi więc nie do końca udało się ukryć złość.

- Dziękuję ci, że tak cenisz moją inteligencję - odparł.

- Biorąc pod uwagę twój strój, to rzeczywiście nie masz szans na zdobycie wielu klientów.

- Niełatwo zbić cię z pantafelów, co?

- Bardzo mi przykro, ale muszę cię poinformować, że na studiach byłem przewodniczącym grupy dyskusyjnej.

- Badger ci powie, że na ulicy takie wymądrzanie się jest nic niewarte.

- No tak, gdzieżbym śmiał dyskutować z Platonem z Bowersy.

- Z kim?

- Ile ty właściwie masz lat? - spytał, zaskoczony, że nawet nie słyszała o tym wielkim filozofie.

Rocky wyprostowała się.

- A co to ma do rzeczy?

- Nic, tak tylko pytam.

- Dwadzieścia.

Nie wygląda na tyle. Jest jednak starsza, niż przypuszczał. Przypomniawszy sobie fizyczną reakcję na widok jej ciała, poczuł się trochę bardziej usprawiedliwiony.

- A ty?

- Trzydzieści sześć - mruknął. - A więc czym się zajmujesz? W jaki sposób zarabiasz na życie?

Tym razem w jej reakcji nie było wrogości.

- Różnymi rzeczami - odparła, wzruszając ramionami. - Wszystkim, na czym mogę zarobić kilka zielonych. Nie mam

jednak żadnego jednego, stałego zajęcia. Nie znalazłam niczego na tyle dobrze płatnego, byśmy się z tego mogli oboje utrzymać.

- Oboje, to znaczy ty i twój dziadek?
- Taa.
- Jest aż tak chory, że nie może pracować?
- Może i by mógł, gdyby nie... pił - odparła dopiero po

chwili Rocky.

Worth zamilkł. Wiedział, że jakiegokolwiek wyrazy współczucia zabrzmiałyby głupio i nieszczerze. Poprosił o dalsze informacje i skreślił tam, gdzie mu wskazała.

- Gdzie dzisiaj pracowałaś? - spytał po chwili.
- Zmywałam naczynia w pewnej restauracji.
- To na pewno ciężka praca.
- Potem pomagałam trochę jednemu bukmacherowi...

Worth obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie żartuj.

Rocky wzruszyła ramionami.

- Dobrze mi płaci, a ja przecież tylko roznoszę i odbieram koperty.

- Nawet to może być niebezpieczne.
- Przechodzenie przez ulicę też - odparła z przekąsem.
- Na koniec sprzątanie w klinice. Tam właśnie kupuję insulinę dla Badgera. Jeden z tamtejszych lekarzy mi ją dostarcza.

- Wielkie nieba, ależ musisz być wykończona.

- Owszem, stóp już nie czuję, ale w porównaniu z resztą ciała to pestka.

Worth poczuł się zawstydzony. Jak ciężko musi pracować ta biedna dziewczyna, by związać koniec z końcem. Przy niej czuł się jak negatywny bohater powieści Dickensa.

Spojrzał na nią kątem oka i zauważył, że pożądlivym wzrokiem wpatruje się w trzymaną w rękę kanapkę.

- Zjedz ją, zanim wyschnie na wiór - poradził.

- Myślałam, żeby podzielić się nią z Badgerem. Skreć przy tym czerwono-niebieskim znaku.

Worth automatycznie spełnił jej polecenie, ale przez cały czas brzmiały mu w uszach jej słowa. Czyżby ta kanapka miała być dziś wieczorem ich jedynym pożywieniem? Poczul się jeszcze gorzej, choć przed chwilą wydawało mu się to absolutnie niemożliwe.

- Zatrzymaj się - powiedziała po jakiejś minucie Rocky.

To nie może być tu, pomyślał z przerażeniem. Widok zrujnowanego, odrapanego budynku potwierdził jego najgorsze obawy.

- Zaczekaj chwilę, to się przebiore i odniosę ci twoje rzeczy.

Była wyraźnie zdenerwowana.

- Nie trzeba - odparł, równie zdenerwowany myślą, że pójdzie tam sama. - Możesz je zatrzymać. Które mieszkanie jest twoje?

-To... właściwie nie jest mieszkanie.

- Nie rozumiem. Mieszkasz tu czy nie?

- A co ci do tego? A, niech ci będzie. Mieszkam tam na dole. Ciekawość zaspokojona?

Wskazała ręką zabłocone, okratowane piwniczne okienko.

Worth błogosławił ten dziwny skurcz, który ścisnął mu gardło. To dzięki niemu nie musiał nic mówić.

Wiedział, że rzeczywiście nic mu do tego, a jednak czuł, że musi coś zrobić.

Wyciągnął portfel i, nawet nie patrząc, wyjął z niego kilka banknotów. Chciał je jej wręczyć, ale z oburzeniem odtrąciła jego rękę.

- Co ty sobie myślisz? - krzyknęła.

Chcę ci tylko pomóc.

Nie przyjmuję jałmużny. - Rocky otworzyła drzwi i wyskoczyła z auta.

Zaczekaj! Weź to - nalegał Worth. - To naprawdę nie wielkiego.

Ledwo wymówił te słowa, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Zobaczył to aż nadto wyraźnie na twarzy Rocky.

- Dla mnie - owszem - odparła.

Zatrzasnęła drzwi samochodu i uciekła.

Rocky biegła przed siebie, tym razem nie myśląc w ogóle o ewentualnym niebezpieczeństwie. Z trudem powstrzymywała łzy złości i zmęczenia.

Tego wieczora nic jej się nie układało. Po kupieniu lekarstwa dla Badgera zostało jeszcze trochę pieniędzy na coś specjalnego do jedzenia na święta. Nie zdążyła jednak niczego kupić, a teraz była taka zmęczona i obolała... Nie była pewna, czy da radę wybrać się do kościoła, a co dopiero na targ. Tylko dlatego przyjęła ofiarowaną jej przez Wortha Drury'ego kanapkę.

Worth Drury. To jego wina. Przez niego jest tak spóźniona. Niepokoi się też o Badgera. To akurat nie było nic nowego. Czasami udawało mu się skombinować parę groszy na butelkę taniego wina. Boże Narodzenie to pora, kiedy jego demony bywały szczególnie aktywne. Może zajrzał do baru na rogu i znalazł kogoś, kto nieopatrznie postawił mu kilka kolejek?

To dlatego tak się spieszyła i, nie patrząc, weszła na jezdnię. A potem jeszcze wszystko się przedłużyło, bo musiała się przecież umyć.

Chyba powinna być wdzięczna Worthowi, że nie zostawił jej tam w tej śmierdzącej mazi.

Dziwny z niego człowiek, pomyślała szukając kluczy. W pismach o modzie takich ludzi określa się jako eleganckich. Wyrafinowanych. Jak na jej gust był jednak zbyt sztywny. Nawet uśmiech sprawiał mu trudność. Był też w nim jakiś chłód. Rocky nie czuła się przy nim pewnie.

Mimo to, kiedy niósł ją na górę, poczuła coś dziwnego... Może to był tylko zapach jego wody po goleniu, kto wie. Po raz pierwszy w życiu poczuła się kobietą. A potem jeszcze ta scena w łazience...

Na szczęście już po wszystkim. Bo choć wierzyła, że nieszczęścia chodzą parami, była pewna, że już nigdy w życiu nie spotka pana Wortha Drury'ego.

Rocky drżała. Płatki śniegu, które przyczepiły się do jej ubrania, były lodowato zimne. Znalazła w końcu klucz, otworzyła drzwi i szybko weszła do środka. Wołała nie myśleć o ciepłym płaszczu, jaki mogłaby kupić za pieniądze, które oferował jej Worth.

- Badger! Wróciłam! - zawołała i natychmiast zamknęła drzwi na klucz. W takiej okolicy ostrożności nigdy za wiele.

Zapaliła jedyną lampę, jaką mieli, i od razu zobaczyła dziadka. Leżał, jak zwykle, na swej wytartej leżance. Rocky uśmiechnęła się z ulgą. Nie będzie musiała szukać go w taką śnieżycę.

- Wstawaj, śpiochu. Pora na zastrzyk i do kościoła. Pamiętaj, że obiecałam księdzu Carmichaelowi, że zagram Marię w jasełkach?

Na samą myśl o klęczeniu aż jęknęła. Potem jednak, przypomniawszy sobie, czyją rolę ma grać, zawstydziła się, bo czym będą jej cierpienia w porównaniu z tym, przez co przeszła Maria.

- Nie uwierzysz, co mi się dziś przytrafiło - mówiła, krza-

tając się po niewielkim pomieszczeniu. - Wpadłam pod samochód. Nie martw się jednak, bo nic mi się nie stało. Na szczęście. Badger...?

Boże, ależ on mocno śpi, pomyślała. Coś ją jednak tknęło i szybko podeszła do leżanki.

- Dziadku?

Co się stało? Czyżby to była cukrzycowa śpiączka? Uklęła obok łóżka i aż jęknęła z bólu. Chwyła dziadka za rękę, szukając pulsu.

Na próżno. Przycisnęła zalaną łzami twarz do nieruchomej piersi staruszka.

- O, Jezu... Dziadku! Dziadku!

ROZDZIAŁ TRZECI

- A ty za chwilę ze zmęczenia spadniesz z tej ławki, jeśli nie pójdziesz do domu choć trochę odpocząć, moje dziecko.

Rocky drgnęła, zamrużyła nieprzytomnie powiekami i spojrzała na miłą, rumianą twarz księdza Carmichaela.

- Przepraszam, proszę księdza. Czy ksiądz czegoś sobie życzy? Czy chodzi o panią Mulvaney? Mówiłam jej, że z taką grypą powinna leżeć w łóżku. Niech jej ksiądz powie, żeby poszła do domu. Ja sama dam sobie radę z dziećmi.

- Nie trzeba, nie trzeba. Dani jest już wolna. Zgodziła się zostać w schronisku i zastąpić panią Mulvaney. Chodzi mi o ciebie. Przecież widzę, że jesteś wykończona - mówił ksiądz, kładąc jej rękę na ramieniu. - Posłuchaj mnie, Rocky. Pracujesz bez opamiętania, bo chcesz zapomnieć o swoich problemach. Kiedy w końcu zrozumiesz, że nie jesteś winna śmierci dziadka? Po prostu jego biedne ciało nie wytrzymało. A ty musisz żyć dalej.

- To o n był moim życiem, proszę księdza - odparła Rocky. - Przecież ksiądz wie, że oprócz niego nie miałam żadnej rodziny.

Podobny bardziej do bosmana niż duszpasterza ksiądz westchnął głęboko i oparł się o ławkę.

- Wiem, że opiekowałaś się nim z wyjątkowym poświęceniem. Ale to zadanie już wypełniłaś. Pora na inne cele i chwile szczęścia, które przyniesie ci życie.

Rocky z gorzkim uśmiechem potrząsnęła głową.

- Chwile szczęścia! Akurat! Czy świat przestanie się kręcić, jeśli nie zmyję swojej porcji naczyń i nie wyszoruję iluś tam łazienek? Gruby Louie przestanie być bukmacherem, jeśli nie będę mu pomagała?

- Rocky, nie powinnaś mi mówić takich rzeczy.

- Dlaczego? Przecież ksiądz sam organizuje bingo. Też mi różnica.

- Już o tym mówiliśmy i wiesz, że zdobywanie funduszy dla potrzebujących i hazard to dwie różne rzeczy.

- Przepraszam księdza. Nie chciałam być niemila - powiedziała Rocky i przygryzła wargę.

- Ludzie różnie reagują na problemy - odparł ze zrozumieniem ksiądz i poklepał jej ciasno splecione dłonie. - Ale minął już tydzień i martwię się, że ciągle jesteś w depresji, Rocky. Nawet maluchy ze schroniska zauważyły, że jesteś jakaś nieobecna.

- Jak mogły coś takiego powiedzieć? - wykrzyknęła z oburzeniem Rocky. - Robię to, co zawsze i poświęcam im cały mój wolny czas!

- Posłuchaj mnie - rzekł uspokajająco ksiądz. - Tu nie chodzi tylko o samą twoją obecność. Podobnie jak Dani jesteś osobą, która ma innym wiele do ofiarowania.

W innych okolicznościach porównanie z kobietą, którą Rocky prawie czciła i uważała za ideał społeczniczy, sprawiłoby jej ogromną przyjemność. W tej jednak chwili uważała, że nie zasługuje na taki komplement.

- Tak, moje dziecko - mówił dalej ksiądz. - Ale tym wielkim darem, jaki otrzymałaś, musisz dzielić się z innymi z własnej i nieprzymuszonej woli. Rozumiesz?

- Nie jestem pewna.

Ksiądz Carmichael uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Widzę, że nie. Gdybym tylko miał w swej trzódce więcej takich owieczek jak ty. Chcę ci tylko uświadomić, ile jest w tobie siły, kiedy robisz coś z sercem, Rocky. Teraz twoje serce jest dziurawe jak sito i nie ma zbiornika, z którego mogłabyś czerpać i dzielić się z innymi.

' - Byłam samolubna.

- Nie, dziecko. Radzę ci tylko, byś spróbowała podzielić się swym bólem z tymi, którzy go będą umieli zrozumieć i nauczyć się tego, czego ty się uczysz.

- Ale... ja nie wiem, czy się czegoś uczę. Nie, to też nieprawda. - Rocky na moment zamilkła i przygryzła wargę.

- Po prostu straciłam nadzieję. Tu, gdzie mieszkamy, nic się nie zmienia, szczególnie dla takich jak ja, biednych i zaniedbanych sierot. Nie dostaniemy lepszej pracy, która pozwoliłaby nam się stąd wydostać, bo nie mamy wykształcenia. A nie mamy kiedy się uczyć, bo musimy zarabiać na życie. Cały ten system nas niszczy.

Ksiądz tylko kiwał głową.

- Masz rację. Ale to nie znaczy, że nie powinniśmy próbować. Pamiętaj, Ewangelia mówi, że pomoc otrzymają ci, którzy sami sobie pomogą?

Nie, Rocky była przekonana, że tylko pieniądze mogą rozwiązać ten problem. Musi mieć ich mnóstwo, by mogła pomóc innym. A jeśli jej się uda... to może wtedy wybaczy sobie, że zawiodła Badgera.

- Popracuję nad tym, proszę księdza - powiedziała z naciskiem i nawet spróbowała się uśmiechnąć.

- Dobra z ciebie dziewczynka. A teraz może wrócimy na naszą noworoczną zabawę? Kiedy wychodziłem, Dani już prawie udało się namówić Eddie'ego, żeby pokazał dziew-

czynkom, czego nauczył się na tych lekcjach karate, na które go wysłała.

- Nie bardzo mam nastrój do zabawy, proszę księdza. Przepraszam. Ale życzę księdzu szczęśliwego Nowego Roku.

Rocky wstała i pocałowała szorstki jak papier ścierny policzek księdza.

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochana Rocky. Bądź ostrożna.

Kilka minut później Rocky przechodziła przez jezdnię bardzo blisko swego domu. Na ulicach nie było prawie ruchu, większość ludzi albo siedziała w domu, albo była na jakimś przyjęciu. Mróz też nie sprzyjał spacerom. Z okien dobiegały ją chwilami odgłosy zabawy. Słyszac śmiech, czuła się mniej samotnie, a dzięki dodatkowemu światłu padającemu z okien jej strach nieco zmalał. Było to tylko złudzenie; ulice nie stały się tego wieczora bezpieczniejsze, a i jej dzisiejszy strój sprawiał, że nikt nie miałby najmniejszej wątpliwości, że ma do czynienia z kobietą.

Rocky próbowała myśleć o czymś przyjemniejszym. Przypomniała sobie poprzedniego sylwestra, którego wraz z Badgerem spędziła na zabawie w schronisku. Dziadek był w znakomitej formie. Opowiadał ciekawe historyjki ze swego długiego życia i prawie do samego świtu grał zebrany na harmonijce.

Rocky ogromnie za nim tęskniła. Kochany stary głupiec. Ciekawe, czy docenił, że sprawiła mu taką porządną trumnę. I czy wie, jak bardzo brak jej jego uśmiechu, dowcipów, nawet skarg, kiedy wieczorem wraca do pustego mieszkania.

Wchodziła już w swoją uliczkę, kiedy nagle usłyszała jakiś stłumiony odgłos. Kot? Szczur? Pełno ich tu w okolicy. A jeśli to człowiek? Zesztywniała ze strachu, nie była w stanie iść dalej.

- Hej, Rocky.

Ten ostry, zuchwały głos poznałaby wszędzie. Należał do najślynniejszego chuligana w okolicy. Przerzątał ją już sam widok jego starego, zdezelowanego samochodu. Zawsze ją zaczepiał, mimo że najczęściej towarzyszyło mu kilka dziewczyn. Tym razem jednak był sam.

- Czego chcesz, Speed? - spytała ostro, próbując opanować strach.

- Czy tak się mówi do kogoś, kto przychodzi z kondolencjami?

No tak, Speed zawsze o wszystkim wie. Znaczy to jednak, że wie także, iż mieszka teraz sama i nie ma kto już jej bronić.

- Trochę się chyba spóźniłeś - powiedziała, wysoko unosząc głowę.

- Nie miałem dotąd okazji spotkać cię poza tym twoim kościołem. Dobrze wiesz, że za nim nie przepadam. Pomyślałem sobie, że w taką noc moglibyśmy się razem zabawić. Co ty na to, małeńka?

Rocky z trudem przelknęła ślinę.

- Nie. Ta propozycja zupełnie mnie nie interesuje.

- Okaż trochę szacunku, mamuśka - odezwał się tuż za nią inny głos. - Speed nie musi być uprzejmy, szczególnie wobec takiej cipci.

Pułapka. Rocky odwróciła się w kierunku, skąd dobiegał głos, i już tylko kątem oka zobaczyła zbliżającego się ku niej Speeda.

A więc to nie było przypadkowe spotkanie.

Worth miał nareszcie parę wolnych godzin. Jechał wolno przez zaśnieżone ulice. Im dalej był od domu swego ojca, tym większą czuł ulgę. Starał się zapomnieć o jego ciągłych uwa-

gach i namowach, by się ożenił i to z odpowiednią dziewczyną. Nawet Chase nie mógł się powstrzymać i wspomniał coś o Erice.

Worth w ogóle nie próbował z nimi dyskutować. Wybrał najlepsze według niego wyjście i po prostu bez słowa opuścił przyjęcie.

Co oni mogą wiedzieć o jego uczuciach i potrzebach? Nawet on sam nie był ich pewien. Nie do końca. Wiedział tylko, że potrzebuje jakiejś zmiany, czegoś nowego w swym życiu, jakiegoś szczytu, na który warto by się było wspiąć. Praca nadal go interesowała, ale to całe życie towarzyskie, które się z nią wiązało, nudziło go śmiertelnie.

Na następnych światłach skręcił w lewo. Ogarnęła go jakaś dziwna fala ciepła i nie musiał długo domyślać się, co ją wywołało. Był w miejscu, w którym spotkał Rocky Grimes.

O, ona na pewno nie może narzekać na nudę. A myśląc o niej, i on poczuł się lepiej.

Co się z nią dzieje?

Czy jest bezpieczna?

Czy kiedykolwiek o mnie myśli?

Co mu przyszło do głowy? Przecież to jeszcze dziecko. Przypieszył, by ominąć związane z tymi wspomnieniami miejsce, ale nie uwolnił się od natrętnych myśli.

Rocky Grimes wcale nie jest dzieckiem. Przez cały tydzień, choć bardzo starał się o tym zapomnieć, co chwila pojawiała mu się przed oczami scena z łazienki.

Wiedział, że to śmieszne. Ona, dziewczyna z ulicy, i on, w czepku urodzony, są tak do siebie niepodobni, jakby pochodzili z dwóch różnych planet.

Ale czy u niej wszystko w porządku?

Musi się tego dowiedzieć.

Była jeszcze szansa, że nie uda mu się odnaleźć ulicy, na której mieszka Rocky. A jeśli się uda, to co? Czy spodziewa się zastać ją czekającą na progę?

Nie, na pewno jej nie znajdzie.

Znalazł.

- No i co, cieszysz się, idioto? - spytał sam siebie.

W świetle reflektorów zobaczył jakieś postacie. Zabawa na świeżym powietrzu?

Nie, to nie zabawa. Podjechał bliżej i zobaczył, że to raczej bójka.

Uznał, że to nie jego sprawa, i już chciał przyspieszyć, kiedy zauważył, że najmniejsza z trzech postaci ma długie, czarne włosy.

Zahamował z głośnym piskiem i wyskoczył z auta. Rocky była w niebezpieczeństwie!

Zaatakował, zupełnie zapominając czy też ignorując fakt, że przez całe trzydzieści sześć lat swego życia ani razu nie używał pięści. Krzyk przerażonej Rocky podziałał na niego jak płachta na byka.

Porażony uczuciem, którego nawet nie umiałby nazwać, młócił pięściami jak oszalały. Ciosów, którymi rewanżowali mu się dwaj przeciwnicy, prawie nie czuł. Zdziwił się, kiedy w pewnej chwili zorientował się, że napastnicy zniknęli, a on został w ciemnej uliczce sam na sam z Rocky.

Upłynęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, jak bardzo wszystko go boli. Serce mu dudniło, w głowie szumiało. Był jednak tym, kim był. Nie myślał o sobie.

- Nic... ci nie jest? - wyjąkał z trudem.

- Mnie nie, ale tobie tak.

Rocky ściągnęła rękawiczkę i dotknęła jego twarzy.

- Zaczekaj, zaraz cię wytrę - szepnęła i sięgnęła do kieszeni kurtki.

Była to ta sama kurtka, którą miała na sobie, kiedy ją potracił.

- Nie trzeba - zaczął i jęknął. Sięgnął do kieszeni smokinga i wyjął chusteczkę.

- Zostaw - powiedziała Rocky, patrząc na delikatny, śnieżnobiały materiał. - Poplamisz ją krwią.

Dla Wortha kilka centymetrów kwadratowych bawełny nie było czymś, o co warto się troszczyć. Przyłożył białą chusteczkę do rozciętej, porządnie już spuchniętej dolnej wargi. Jak to dobrze, że jutro nie muszę nigdzie wychodzić, pomyślał z ulgą.

- Co ty właściwie tutaj robisz?

Worth był pewien, że to samo chciałyby wiedzieć pielęgniarki w izbie przyjęć, McGuire i jego agent ubezpieczeniowy. Oni jednak nie patrzyliby na niego z taką podejrzliwością.

Rocky zmrużyła oczy.

- Wieczorna przejażdżka, co?

- Coś w tym rodzaju - z trudem wymamrotał przez opuchnięte wargi Worth.

- Niezbyt to rozsądne.

- I kto to mówi.

Rocky spuściła głowę. Do tej chwili była taką Rocky Grimes, jaką zapamiętał - lekko roztrzęsioną po niedawnej bójce, ale wciąż pewną siebie, cały czas w ofensywie. Teraz nagle ulotniła się cała jej energia. Skrzyżowała ramiona na piersi, a jej twarz była równie blada jak tarcza wyglądającego zza chmur księżycy.

Worth zupełnie zapomniał o swoich obrażeniach. Nie myślał też, w jakim stanie jest jej kurtka. Kierowany niemożli-

wym do opanowania instynktem, podszedł bliżej i wziął ją w ramiona.

- Już po wszystkim. To przecież najważniejsze - rzekł.

Rocky lekko westchnęła.

- Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam - odparła drżącym głosem.

Worth poczuł jej dłonie zaciskające się na jego płaszczu. Poczuł się bardzo silny i odpowiedzialny.

- Już dobrze.

- Oni chcieli...

- Ale nie zrobili tego. A teraz już ich nie ma.

- Dzięki tobie.

Nie było to prawdziwe podziękowanie, ale Worth prawie się uśmiechnął - a w każdym razie uśmiechnąłby się, gdyby pozwoliły na to jego wargi. Zamiast tego gładził ją po plecach i włosach. Był już spokojny i bardzo, bardzo zadowolony. Zachwycał się jedwabistą miękkością jej włosów i ich niesamowitym zapachem. Przywiodły mu na pamięć łąki w świetle księżycy.

Czyżby doznał wstrząsu mózgu?

- Poczekaj chwilę, tylko zaparkuję samochód - powiedział w końcu. - Odprowadzę cię do domu i wszystko wyjaśnię twemu dziadkowi.

Rocky zadrżała!

- Co ci jest? Co się stało?

Milczała. Worth od razu zauważył, że go nie ignoruje. Po prostu powstrzymuje łzy. Nigdy w życiu nie umiał radzić sobie z płaczącymi kobietami, ale wiedział, że często łzy stały się ich podstępą bronią. Czy tak jest i teraz?

Z całą mocą odrzucił to podejrzenie.

- Powiedz, co ci jest - szepnął.

- On nie żyje.

Worth rozejrzył się dokoła. Czyżby nie zauważył ciała staruszka? Nie, to niemożliwe. Po ucieczce tamtych dwóch Rocky na pewno by do niego podbiegła - gdyby tu gdzieś był. A to mogło znaczyć tylko jedno.

- Kiedy? - spytał, wiedząc, że to z jego strony jedyna możliwa reakcja.

Minęła chwila, zanim odpowiedziała.

- Tamtego wieczora, kiedy my... ty... Wróciłam do domu, a on już nie żył.

Decyzja Wortha była błyskawiczna.

- Chodź.

- Dokąd?

Wskazał ręką auto i skierował ją w jego stronę.

- Drżysz nie tylko ze strachu, ale i z zimna. Musisz gdzieś usiąść i się ogrzać.

- Ale ja tu niedaleko mieszkam.

Worth spojrzął przez ramię. Tego wieczora okienko suterenu było ciemne. Wolał nie myśleć, jak tam jest zimno, mokro i ponuro.

- Naprawdę chcesz tam spędzić dzisiejszy wieczór? Sama?

Nie spojrzała mu w oczy, ale kiwnęła głową.

- A jeśli wrócą tamci dwaj? Jeśli wiedzą, gdzie mieszkasz?

- Wiedzą.

- To cię dopadną.

Chwyił ją po prostu za ramię, wepchnął do auta, sam usiadł za kierownicą i natychmiast ruszył.

- Dlaczego to robisz? - Rocky pierwsza przerwała milczenie.

- Nie wiem - odparł, bo na tyle tylko było go stać bez zastanowienia.

Rocky uznała jego odpowiedź za zadowalającą.

- Dokąd jedziemy?

- Do domu. Do mojego domu.

- Czyżbyś w ten sposób grzecznie dawał mi do zrozumienia, że przydałaby mi się kąpiel?

Worth zrozumiał, że dziewczyna zaczyna dochodzić do siebie, i sam też nieco się rozluźnił.

- Jeśli tego właśnie chcesz - odparł.

- Ważniejsze jest, czego ty chcesz? - Rocky rękawem wytarła twarz. - Może nie jestem zbyt doświadczona, ale w bajki już nie wierzę.

- Ma mnie to ucieszyć czy rozczarować?

- Chodzi mi o to., że ludzie twego pokroju raczej nie zawierają bliższej znajomości z ludźmi takimi jak ja. Dzięki waszym książeczkom czekowym wcale nie musicie sobie brudzić rąk.

- To byś wołała? Pieniądze?

- Lepiej stań na najbliższych światłach i pozwól mi wyjść.

Worth oczywiście minął światła i skręcił w lewo.

- Przecież sama też nie masz ochoty wracać do tej wilgotnej nory - zauważył spokojnie.

- Ale mogłabym pójść do parafii św. Tymoteusza. Ksiądz Carmichael pozwoli mi zostać w schronisku młodzieżowym, dopóki sobie czegoś nie znajdę. To mój wielki przyjaciel.

A gdzie się podziewał ten wzór cnót, kiedy atakowali ją tamci dwaj?

- Jutro możesz nawet polecieć do Tybetu i zaprzyjaźnić się z yeti, jeśli na to będziesz miała ochotę - zapewnił ją

Worth. - Dzisiaj zostaniesz tam, gdzie jest ciepło i bezpiecznie.

Czuł, że spogląda na niego od czasu do czasu, ale nie odezwała się więcej. Wcale mu to nie przeszkadzało. Sam musiał zastanowić się nad tym, co robi.

- Nie mam ze sobą żadnych rzeczy - mruknęła, kiedy zajechali przed jego dom.

- Jakich rzeczy?

- Na przykład szczoteczki do zębów.

- McGuire ci jakąś znajdzie. I wszystko, czego jeszcze będziesz potrzebować.

Lokaj stał już w drzwiach.

- Co on sobie pomyśli? - spytała Rocky.

- Możesz tego nie wiedzieć, ale nie zatrudniam go po to, żeby wysłuchiwać jego opinii.

Służący powitał ich zdziwionym, ale i lekko rozbawionym uśmiechem.

- Ostre te dzisiejsze panienki, co, proszę pana?

Worth przyłożył zakrwawioną chusteczkę do wargi i przez chwilę rozważał pomysł odesłania służącego z powrotem do Anglii - bez referencji.

- Zamknij się, idioto - warknął w końcu i wprowadził Rocky do środka.

- Przynies mi zimny okład - polecił lokajowi, zdejmując płaszcz.

- Napelnę też lodem wiaderko w gabinecie - zaproponował McGuire.

Worth obrzucił go uważnym spojrzeniem. Nie widząc nic niewłaściwego w wyrazie twarzy służącego, skinął przyzwyczajająco głową. Odwrócił się i gestem nakazał Rocky, by zdjęła kurtkę.

Dziewczyna ani drgnęła. Z rękami ukrytymi w kieszeniach stała jak wmurowana.

Czy to widok jego smokinga tak ją oszłomił? Czy wstydzi się swego własnego ubrania?

- Może wolisz się najpierw ogrzać? Jeśli tak, to rzeczywiście na razie się nie rozbieraj.

Rocky spojrzała na siebie i szybko, jakby nagle podjęła decyzję, rozpięła kurtkę.

Pod spodem miała sweter, który dał jej Worth.

- Sprawdź, czy w pokoju gościnnym jest wszystko, czego panna Grimes mogłaby potrzebować - polecił lokajowi dziwnie zadowolony Worth.

- Tak jest, proszę pana. A co z kolacją? Wrócił pan tak wcześnie, więc chyba pan nic nie jadł?

- Jesteś głodna? - zwrócił się Worth do Rocky.

- Ja... właściwie nie wiem.

Wyglądała na taką, która w ogóle niewiele jadła od czasu ich ostatniego spotkania.

- Kiedy przygotujesz pokój na górze, przynieś coś do gabinetu dla naszego gościa - polecił służącemu Worth, wiedząc, że on sam w obecnym stanie nic nie będzie w mógł wziąć do ust ani kęsa. Wskazał Rocky kierunek i oboje weszli do pokoju.

Ponieważ nie spodziewano się pana domu tego wieczora, nie powitał ich wesoły ogień w kominku. Drewno było jednak przygotowane, więc Worth zdjął marynarkę i rozpałił ogień.

Rocky stała nieruchomo na środku gabinetu. Zdenerwowanie nie powstrzymało jej jednak od pełnego dziecięcego zachwyty rozglądania się dokoła.

- O czym myślisz? - spytał Worth, zainteresowany jej opinią o swoim domu.

- Przeczytałeś te wszystkie książki?

Zaintrygowało go to pytanie. Spodziewał się raczej, że zauważy pokrytą zgniłozielonym zamszem luksusową kanapę, obrazy na ścianach, bogaty zbiór brązowych figurek czy drogą aparaturę stereo. Ona zaś najwyraźniej zauważyła tylko sięgające do samego sufitu półki z książkami.

- Większość tak. Na górze jest ich drugie tyle. Jak nie będziesz mogła spać, możesz sobie którąś przewertować.

Rocky wzruszyła ramionami i wyraźnie unikała jego spojrzenia. Już po raz drugi zareagowała unikiem, kiedy poruszał temat czytania.

- Umiesz czytać? - spytał.

Dziewczyna dumnie uniosła głowę.

- Taa. Jasne... coś w tym sensie. - Spojrzała znowu na książki i straciła ochotę do walki. - Tyle że nie tak dobrze, jak powinnam. Szkoły, do których chodziłam, nie miały najlepszych nauczycieli, a i ja często opuszczałam lekcje, bo musiałam zajmować się Badgerem..

W tej chwili zjawił się McGuire z lodem oraz z zimnym okładem i uwolnił swego pracodawcę od natychmiastowego komentarza. Korzystając ze zwłoki, Worth zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

Wychowany w luksusowych warunkach, nigdy właściwie nie zastanawiał się, jak ciężkie może być życie innych ludzi. Prawie wyłącznie męskie środowisko wyzwoliło też w nim ducha rywalizacji. W rezultacie przez cały czas skupiony był wyłącznie na osiągnięciu własnych celów, najpierw w szkole, potem w firmie ojca, wspinając się po kolejnych szczeblach kariery. Co by z niego wyrosło, gdyby urodził się gdzie indziej?

Wziął od McGuire'a okład, przyłożył go sobie do wargi i skrzywił się.

- Za zimny, proszę pana? - spytał służący, nalewając mu jego ulubioną whisky.

- Co? Nie - odparł Worth, siadając w fotelu. - W porządku. Przynies też pannie Grimes coś do picia. Herbatę? - zwrócił się do Rocky. - Gorącą czekoladę?

- Nie... nie chciałabym sprawiać kłopotu - wyjąkała niepewnie.

- To żaden kłopot, panienko - rzekł McGuire. - Muszę się pochwalić, że robię najlepszą w mieście czekoladę z bitą śmietaną.

Rocky głośno przelknęła ślinę i Worth zrozumiał, że nawet mała filizanka czekolówek zrobiłaby na niej wielkie wrażenie.

- Ze śmietaną, McGuire, i to szybko - polecił Worth, zadowolony, że może zrobić jej przyjemność. - Mieliśmy kolejny ciężki wieczór.

Służący wyszedł, a Rocky, wyraźnie skrepowana, nadal stała na środku pokoju.

- Lepiej usiądź, zanim zemdlejesz - zaproponował Worth.

Rocky niepewnie przysiadła na skraju najbliższego krzesła. Wyglądała jak dziecko spodziewające się reprimendy. Równocześnie Worth nie miał wątpliwości, że nie jest już dzieckiem. Widział to na własne oczy i czuł, kiedy trzymał ją w ramionach.

- Co ja mam z tobą zrobić? - mruknął.

Rocky natychmiast przybrała postawę obronną.

- Nie musisz nic robić. To był twój pomysł, żebym tu była, nie mój. Jeśli zmieniłeś zdanie i chcesz, żebym poszła...

- Wcale nie chciałem... Oj! Cholera jasna! - Na moment zapomniał, że musi uważać na skaleczoną wargę. - Po prostu się odpręż, dobrze? Nie ugryzę cię.

- To dobrze, bo pokazałabym ci, że i ja mam zęby.

Natychmiast wyobraził ją sobie, jak robi to właśnie, potem wspina się na palce, całuje i oblizuje ślad po ugryzieniu... i poczuł ogarniającą go bardzo przyjemną falę gorąca. Myśli, które wywołała, były jeszcze bardziej kłopotliwe.

Czyżby zaczynał tracić zmysły? Przecież nie dla takiego... obdartusa z nędznej dzielnicy!

Nie mógł jednak temu zaprzeczyć. Opanowała jego wyobraźnię. Choćby się nie wiem jak wypierał, nadal przypominała mu kryształową Galateę i dlatego nie mógł pozwolić, by po raz drugi zniknęła z jego życia. Przynajmniej do chwili, dopóki sam się o czymś nie przekona.

- Nie lubię, jak tak na mnie patrzysz.

- Jeśli to będzie dla ciebie jakimś pocieszeniem, to wiedz, że i ja nie jestem tym zachwycony.

- Znowu jakoś dziwnie mówisz.

- Tak, chyba masz rację. Roc... Jak ty masz naprawdę na imię?

- Właśnie tak. Przynajmniej od urodzenia tak na mnie mówiono. Na pewno brzmi lepiej niż to, co wpisano mi do metryki.

- A co ci wpisano?

- Roxanna - odparła, krzywiąc się, Rocky.

- Fascynujące.

- To ty tak uważasz. Nie jestem żadną Roxanna.

- A chciałabyś być?

Spojrzała na niego zaskoczona, a on uświadomił sobie, że zmierzał do tej rozmowy już od godziny. Może nawet planował ją od chwili, kiedy w wigilię zatrzasnęła mu przed nosem drzwi samochodu.

- A gdybym - zaczął - dał ci szansę, która cię w życiu

omineła? Ubranie, dom, szkołę, świat zupełnie inny od tego, który znasz? Interesowałoby cię to?

- Dlaczego miałbyś to zrobić? - spytała, bardziej podejrzliwa niż zdziwiona.

Ostrożnie, ostrzegł się w myślach Worth. Przecież nie możesz jej powiedzieć, że chcesz wymazać prześladowający cię obraz i o czymś się przekonać. Nie zrozumie, że pragniesz sobie udowodnić, iż nie istnieje żywa wersja twego ideału.

- Moje powody pozostaną znane tylko mnie - odparł ostrożnie.

- Brzmi to podejrzenie.

Dziwne, był przekonany, że natychmiast z ochotą zaakceptuje jego propozycję. Czy ta dziewczyna zawsze będzie go zaskakiwać?

- Pomyśl raczej o możliwościach, jakie się przed tobą otwierają.

- Wolę najpierw usłyszeć, jak będę musiała za to zapłacić.

Worth wyczuł jednak w jej głosie pewne zainteresowanie.

- Na przykład pełnym poświęceniem. Powiedzmy sobie szczerze, twój język jest żaloszny, twoje ubranie jeszcze bardziej i, jak sama powiedziałaś, twoje wykształcenie pozostawia wiele do życzenia.

- O, Jezu... ciekawe, jak mówisz do kogoś, kogo nie lubisz?

- Lepiej, żebyś tego nie wiedziała - zapewnił ją i stanął tuż przed nią. - Nie postępuję tak dlatego, ponieważ jestem dobry, Roxanno, ale wyłącznie z egoistycznych pobudek. Wiem, że wkrótce zaczniesz mnie przeklinać i nawet nie jestem pewien, czy wytrzymasz. Chcę ci jednak dać szansę.

Patrzyła na niego, jakby stracił rozum.

On sam też miał co do tego wątpliwości. Czemu, miesz-

kając samotnie przez całe swe dorosłe życie, zaprasza kogoś nieznanego, by dzielił z nim dom? Szczególnie kogoś, kto będzie impertynencki jeszcze częściej niż McGuire?

- Mówisz serio?

- Całkowicie.

- Jeśli się zgodzę, a jeszcze wcale nie mówię, że tak będzie, to chcę mieć prawo zamykania drzwi mojej sypialni na klucz.

- Lepiej rzeczywiście to zrób, bo inaczej ja to zrobię za ciebie i dam klucz McGuire'owi.

Rocky, zmieszana, pokręciła głową.

- Nie rozumiem cię - powiedziała niepewnie.

- Wcale nie musisz - odparł Worth, nagle czując bagaż swych lat. - Chodzi tylko o to, czy chcesz skorzystać z tej jedynej w życiu szansy. Jak brzmi twoja odpowiedź, Roxanno?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dlaczego powiedziałam: tak? zastanawiała się tydzień później Rocky, siedząc za biurkiem Wortha. Obserwowała go, jak przechadza się przed kominkiem, i rozmyślała, ile krochmalu zjada dziennie Worth Harrison Drury IV, by trzymać się tak cholernie prosto.

Kiedy po raz pierwszy odczytała jego pełne imię i nazwisko wytłoczone złotymi literami na wizytówce, którą jej dał na wszelki wypadek, omal nie zakrzuszyła się sokiem pomarańczowym. A kiedy jeszcze usłyszała, jak to wymawia, miała wrażenie, że odczytuje jej którąś z pozycji na liście pretendentów do tronu brytyjskiego. Oczywiście tydzień temu nie miała jeszcze pojęcia, że istnieje coś takiego jak lista pretendentów do tronu.

- Powtórz to jeszcze raz, Roxanno. Umiesz o wiele za mało, żeby rozpocząć naukę w college'u.

- Zdaje się, że najpierw mieliśmy skoncentrować się na przygotowaniu mnie do zdobycia świadectwa ukończenia szkoły średniej - przypomniała mu, stukając ołówkiem w materiały, nad którymi, jej zdaniem, powinni pracować.

- Najpierw powtórka z hiszpańskiego. Jeszcze raz - zdanie: „Nie mogę znaleźć mojej książki” w czasie teraźniejszym, przeszłym i przyszłym.

Rocky niechętnym wzrokiem obrzuciła jego szczupłą, ale masywną postać w wiśniowym swetrze, idealnie uprasowa-

nych spodniach i śnieżnobiałej koszuli. Czy ten facet choć raz w życiu wyglądał nieświeżo?

- Kto wymyślił te idiotyczne zdania? To dobre co najwyżej dla pięciolatków.

- Tu nie chodzi o treść, tylko o gramatykę. Chcę ci też przypomnieć, że to ty wybrałaś hiszpański, bo, jak twierdzisz, masz już o nim pewne pojęcie.

- Owszem i możesz być pewien, że Manny zwany Łosiem, Tina Esperanza, nie mówiąc już o innych Latynosach, których znam, umarliby ze śmiechu, gdybym spróbowała rozmawiać do nich tak, jak każe ta idiotyczna książka.

- Z nimi. Rozmawiać z nimi - poprawił ją delikatnie Worth. - A czy mogę wiedzieć, jakimi to dyplomami szczycą się państwo Manny zwany Łosiem i Tina Esperanza, że uważasz ich za takich ekspertów?

Rocky wybuchnęła śmiechem. Rozbawiona, obróciła się kilka razy na krześle.

- Państwo Manny i Tina! A to dobre! Uwielbiam, jak jesteś oburzony, wiesz?

- Roxanno...

Ton jego głosu sprawił, że spuściła nogi i zatrzymała wirujące krzesło.

- O raju - pisnęła i przestała się śmiać.

- Właśnie.

Jak to możliwe, że człowiek, przed którym cały świat stoi otworem, widzi tak mało powodów do śmiechu, podczas gdy ona, nie mając prawie niczego, potrafi cieszyć się byle czym? Czasami, doszła do wniosku Rocky, życie jest zupełnie bez sensu.

Wiedziała jednak, że powinna go przeprosić.

Przyjęła jego propozycję, bo uznała to za jedyną szansę

wyrwania się z nędzy. Worth ma rację; wiedza to potęga, a jej potrzebna jest ta potęga, by zmienić życie swoje i swych przyjaciół z okolicy. Musi cały czas o tym pamiętać i nie zaprzepaścić danej jej szansy.

- Przepraszam - powiedziała z powagą. - Ale pracujemy już tyle godzin. Mój umysł się zbuntował.

Worth spojrział jej prosto w twarz, a ona miała wrażenie, że skoncentrował się szczególnie na jej ustach. Poczula w żołądku jakieś dziwne ssanie, więc kiedy powiedział „Dobrze”, przez chwilę nie wiedziała, czego ta zgoda dotyczy.

Z ulgą zamknęła podręcznik. Trzeba powściągnąć wyobraźnię i przestać dopatrywać się czegoś, czego nie ma. Owszem, Worth traktuje ją jak naukowiec robaka, którego z zainteresowaniem obserwuje pod mikroskopem. To tylko ona sobie wyobraziła, że ten mężczyzna ma trudności z utrzymaniem ich relacji na poziomie: nauczyciel - uczennica.

No, ale jeśli jednak widzi w niej coś więcej niż tylko obiekt swego „eksperymentu”, pomyślała, ukradkiem spoglądając na niego spod rzęs. Jak by to było, gdyby te silne, wypięgnięte dłonie wsunęły się pod jej sweter...

- Roxanno!

- Mhm? Słucham cię przez cały czas - zapewniła go szybko.

Czuła, że się czerwieni ze wstydu. Na szczęście Worth tego nie widział.

- Mówiłem, że dla odmiany ostatnie pół godziny naszych zajęć poświęcimy twojemu językowi. Zaczniemy od usunięcia z twojego repertuaru odpowiedzi typu „Mhm?”

Rocky przybrała cierpiętniczy wyraz twarzy.

- A nie moglibyśmy robić czegoś innego? Zaczynam już skrzeczeć jak żaba. Może dla relaksu włączyłbyś teraz

swój sprzęt stereo i nauczył mnie tańczyć walca? Przecież obiecałeś.

- Niczego takiego nie obiecywałem. Mówiłem, że nie zaszkodziłoby, gdybyś nauczyła się kilku tańców. Tak na wszelki wypadek, gdybyś kiedyś w przyszłości musiała wziąć udział w jakimś uroczystym przyjęciu.

Rocky pozwoliła Worthowi na to sprostowanie, podeszła jednak do wieży stereo.

Wiedziała dokładnie, o jaki rodzaj muzyki jej chodzi. Na Straussa nie miała ochoty. Zbyt pompatyczny - podobnie jak Worth, kiedy jest w swym szczególnie apodyktycznym nastroju. Nie, to musi być coś delikatniejszego, jakiś artysta, który sprawi, że w oczach Wortha pojawią się te dziwne błyski.

Chopin. Tak jak nauczył ją Worth, ostrożnie ujęła kompakt i wsunęła go do odtwarzacza. Kiedy rozległy się pierwsze takty muzyki, podeszła do Wortha i wykonała głęboki dyg, dokładnie taki sam, jak aktorka w filmie, który widziała któregoś wieczoru w telewizji.

- Bardzo ładnie, ale w dzisiejszych czasach kobiety w Ameryce właściwie już nie dygają. Chyba że są formalnie prezentowane w towarzystwie lub też, będąc gwiazdami, dziękują publiczności za owację.

Rocky ze smutkiem przyjęła tę informację. Wyglądało na to, że wszystko, co najbardziej podobało jej się w okazywaniu, że się posiada tak zwane dobre maniery, jest już niemodne.

- A jeśli spotkam członka rodziny królewskiej?

- Wtedy tak.

- A więc nie był to taki straszny błąd, prawda, panie Drury?

Worth odwrócił wzrok i z trudem ukrył uśmiech.

- Widzę, że dziś postanowiłaś być niepoprawna - zauważył.

- Hej! Już wiem, co znaczy to słowo - rozpromieniła się Rocky. - Tak często go przy mnie używasz, więc chciałam wiedzieć, dlaczego. Szukałam w słowniku i udało mi się dopiero z pomocą McGuire'a.

- Uczyl Marcin Marcina - skomentował Worth.

- Powiedział mi, że w stosunku do niego też często go używasz.

- Dużo za rzadko, wierz mi. A co do ciebie, młoda damo, to wołałbym, żebyś z takim samym oddaniem zajmowała się nauką, jak nawiązywaniem przyjaźni z moim służącym.

Rocky nie zniechęciła się jego surową miną.

- Chętnie, gdyby tylko to, czego mnie uczysz, miało trochę większy związek z rzeczywistością. Nie wiem, na przykład, jaki sens ma nauka hiszpańskiego, którego nigdy nie będę mówiła. Używała - poprawiła się, widząc, że Worth otwiera usta, by skorygować jej błąd.

- Zaczynam wierzyć, że dawni filozofowie mieli rację, twierdząc, że niektórych młodych ludzi nie warto uczyć.

Rocky zmarszczyła nos.

- Szybko, szkoda muzyki, drogi zrzędo.

Słowa te wyraźnie rozbroiły Wortha, bo wziął ją za rękę i pokazał, gdzie i jak ma je ułożyć. Potem przeciwiczył z nią kroki. Po kilku okrążeniach foteli i kanapy Rocky wiedziała już, o co chodzi. Pozwoliło im to zwiększyć tempo i tańczyć bardziej do taktu.

- Szkoda, że nie mam na sobie takiej sukni, jak ta aktorka w filmie - powiedziała z rozmarzeniem Rocky.

- Już zaczynałam się zastanawiać, kiedy zaczniesz domagać się prezentów - uśmiechnął się ironicznie Worth.

- Wcale się niczego nie domagam! - Oburzona oderwała wzrok od swoich stóp i spojrzała na niego. - Nie chodziło mi o posiadanie takiej sukni. A co ja bym z nią robiła? Chciałabym jednak kiedyś podobną przymierzyć. Są takie długie, że w ogóle nie widać stóp.

- To właśnie ci się w nich podoba?

- Jasne. Wtedy nikt nie zauważy, jeśli popełnisz w tańcu jakiś błąd.

Szkoda, że nie wymyślono czegoś, co ukrywa również błędy językowe, pomyślała.

- Dobry partner zawsze wie, kiedy zmylisz krok - mruknął Worth, bo właśnie coś takiego zrobiła.

- Skąd wiedziałeś? - jęknęła zawstydzona Rocky. - Przecież nie patrzyłeś na moje nogi?

- Czulem, jak twoje ciało na ułamek sekundy zeszywniało. Choć nie patrzyłem na twoje nogi, poczułem to tutaj - odparł, delikatnie przesuwając dłoń po jej talii. - I tutaj - dodał i zacisnął palce wokół jej lewej dłoni.

Rocky poczuła, jak przesywa ją jakiś dziwny, gwałtowny prąd.

- No, dobrze - odparła z niepewnym uśmiechem.

Była zaskoczona. Przecież w dotyku Wortha nie było nic, co powinno wywołać taką reakcję.

Jego delikatność, połączona z tym ledwo wyczuwalnym dotykiem, sprawiła jednak, że zaczęły jej się pocić ręce. Wsunęła się gwałtownie z objęć partnera i wytarła ręce w swoje nowe, błękitne spodnie. Dzień po Nowym Roku Worth zamówił jej dla niej przez telefon wraz z odpowiednim swetrem i kazał McGuire'wi odebrać.

- Ciekawe, co kiedyś ludzie robili, że nie pociły im się ręce? - spytała, żałując, że w ogóle zaproponowała ten taniec.

- Nie martw się, im też się pocily - zapewnił ją spokojnie Worth. - Dlatego nosili rękawiczki lub korzystali z chusteczek. Dawniej, mimo całej etykiety, taniec był w tym samym stopniu rytuałem seksualnym, co zabawą towarzyską. Jedyna różnica między nami a naszymi przodkami polega na tym, że dzisiaj ludzie bardziej otwarcie sygnalizują swym ciałem to, co chodzi im po głowie.

- Mnie się to wydaje uczciwsze.

Kiedy znowu zaczęli tańczyć, Rocky nie kontynuowała już tej rozmowy. Uznała, że za mało wie o podobnych rzeczach. Niewiele miała do tej pory do czynienia z przeciwną płcią, bo nigdy jej to nie interesowało. W każdym razie nie na tyle, by ryzykować.

- Czy wprowadziłem cię w zakłopotanie?

Niski, przesycony erotyzmem głos Wortha przerwał te poważne rozmyślenia.

- Nie - odparła, czując znów jakieś gorąco rozlewające się po całym ciele. Tak, to tylko z powodu tańca. Poruszali się teraz szybciej i wymagało to większej koncentracji. Mimo że Rocky była w dobrej formie, serce biło jej jak oszalałe. - Nie krępuj się. Wiem, co to jest seks - powiedziała w końcu, zdecydowana udowodnić mu, że ona też potrafi być nonszalancka.

Potknęła się, ledwo przebrzmiały jej słowa.

Zachwiali się oboje, ale Worth, silny i przytomny, objął ją mocno i przytrzymał.

W wyniku tego manewru znaleźli się ze sobą oko w oko, i... O Jezu, pomyślała Rocky, oblizując wargi. Usta w usta.

Ich ciała znieruchomiały i zeszywniały. Rocky poczuła, jak nabrzmiewają jej piersi i twardnieją sutki. Mięśnie brzucha Wortha też były napięte, czuła jego silne uda... wszystko.

Odrzuciła wzrok od świdrujących ją oczu i skoncentrowa-

ła się na ustach. Wargi, podobnie jak ona, miał lekko rozchyłone, oddychał nierówno. Wydał jej się zupełnie innym człowiekiem. By odkryć, jakim, wystarczyło lekko przechylić głowę do przodu, nachylić się i...

- To akurat jest jedyna rzecz, której cię nie nauczę.

Były to ostre słowa, ale przeczyło im spojrzenie jego zazwyczaj chłodnych, szarych oczu. Nie, tym razem nie dam się zwieść, postanowiła.

- A kto cię o to prosi - mruknęła.

- Ty. Wyraz twojej twarzy o tym świadczy.

- Może czasem powinieneś spojrzeć w lustro i zobaczyć, o czym świadczy twój a twarz, profesorze.

Oplatające ją ramię zeszywniało.

- Nie flirtuj ze mną, Roxanno.

- Stwierdzam tylko fakt.

- Zbyt zuchwale.

Aż dziwne, że w pokoju nie zaiskrzyło od wytworzonego między nimi napięcia. Rocky, dziwiąc się zresztą własnej odwadze, nie wycofała się. Nie był to mężczyzna, z którym powinna się na coś takiego zdecydować, a jednak...

Co wieczór, układając się w swym ogromnym łóżku, przypominała sobie, że całe to luksusowe życie skończy się, kiedy Worth złamie jej serce. Czowała, że tak będzie. Jeśli nie w ten sposób, to w inny.

Niczego to jednak nie zmieniało. To samo przeczucie, podpowiadające jej, że Worth nie ma pojęcia, na czym polega szczęście, mówiło jej, że jest jedynym mężczyzną, który może wzbudzić w niej namiętność. Nie miała pojęcia, czemu miałby się nią interesować, ale widziała to aż nadto wyraźnie. Czowała, że jej ciało płonie, i było jej tym trudniej opierać się chęci poznania go bliżej.

- Ty mały głuptasie. Nawet nie masz pojęcia, czego się domagasz.

Nagle tik, który wprowadził w drganie jego lewy policzek, bardziej niż słowa przekonał ją, że posuwa się trochę za daleko. Potem Worth zamknął jej usta pocałunkiem i przestała reagować na cokolwiek oprócz tego.

Jak mogła uważać go za człowieka ozięblego? Spalał ją swoim ogniem, a ona zacisnęła ręce na jego szyi i ochoczo poddała się temu nowemu doświadczeniu.

Jego usta były twarde i zaborcze. W ciągu kilku sekund Rocky podwoiła, a nawet potroiła swą wiedzę o pocałunkach. Drżały wszystkie nerwy i mięśnie jej ciała. Gdyby w tej chwili położył ją na sofie czy nawet wręcz na dywanie, oddałaby mu się z ochotą. Wiedziała, że tego pragnie. Jego podniecone ciało świadczyło o tym aż nadto wyraźnie. Stłumione kaszlnięcie dobiegające od drzwi położyło kres pocałunkom.

Worth zaklął pod nosem i zasłonił ją swoim ciałem przed ciekawskim spojrzeniem McGuire'a. Jego troska wzruszyła głęboko Rocky.

- Czego? - rzucił przez ramię.

Rocky patrzyła zafascynowana na krople potu błyszczące na jego czole. Nigdy by nie podejrzewała, że mężczyzna tak opanowany może tak przeżyć kilka pocałunków. Ona sama, oczywiście, uleciałaby gdzieś w przestrzeń, gdyby przez cały czas nie trzymał jej mocno w objęciach. Mimo wszystko było jej jednak miło, że doprowadziła go do tego stanu.

- Przepraszam pana, ale jakie przekąski mam przygotować na dzisiejszą wieczorną lekcję?

Wielki Boże, pomyślała Rocky, już dziewiąta? Co wieczór Worth kończył ich zajęcia godziną lekcji mniej formalnych: jak podawać herbatę, prowadzić uprzejmą, swobodną rozmo-

wę o niczym i tym podobne. Nie była przekonana, że cokolwiek z tego kiedykolwiek jej się przyda, ale uczestniczyła w tych lekcjach z przyjemnością.

- Nic nam nie trzeba - odparł ku jej zdziwieniu Worth.

- Dziś panna Grimes kładzie się wcześniej.

Kiedy znów zostali sami, Rocky przyjrzała mu się uważnie. Był wyraźnie zły. Dlaczego?

- Odsyłasz mnie za karę do mego pokoju? - spytała.

- Zauważyłem, że trudno ci się dziś skupić na nauce.

Rocky wysunęła się z jego objęć.

- Widzę, że nie żartujesz. Naprawdę mam iść do siebie?

Worth podszedł do biurka, odwrócił się i spojrzał na nią uważnie.

- Nigdy więcej nie igraj ze mną w ten sposób, bo odeślę cię z powrotem do tej twojej nory. W przyszłości interesuj się chłopcami bardziej do ciebie podobnymi.

Zawstydzona Rocky zapragnęła uciec i skryć się na górze, wiedziała jednak, że musi zostać, jeśli nie chce stracić dla siebie szacunku.

- Sugerujesz, że to była moja wina? - spytała, podchodząc bliżej.

- A czyja?

- To ty pierwszy poruszyłeś temat seksu.

- Bo ty aż za wyraźnie mnie prowokowałaś.

Rocky aż podskoczyła, zwinęła dłoń w pięść, gotowa poczęstować go nokautującym ciosem. Na szczęście dla Wortha, jego refleks był równie szybki jak język. Uchylił się i pięść Rocky zawisła w powietrzu.

- Spróbuj jeszcze raz, a całą naszą umowę diabli wezmą - warknęła z wściekłością.

- Jeśli o mnie chodzi, to już ją wzięli! - krzyknęła Rocky,

czując, jak łzy napływają jej do oczu. Nie chcąc, by Worth je zauważył, wybiegła z pokoju.

Kretyn. Gwałtownym ruchem Worth wsunął sobie rękę we włosy. Imbecyl. Dlaczego zrobił jej taką awanturę, skoro to on był winien, że sprawy zaszyły za daleko?

Jego ciało nadal pulsowało pożądaniem. Jak to możliwe, by w tak niewielkiej kobiecie tyle było namiętności? Przyznając, że choć ten pocałunek w ogóle nie powinien mieć miejsca, nie mógł jednak zaprzeczyć, że jeszcze żaden nie poruszył go aż tak głęboko.

Pocałunek, pieszczoty. To było coś niesamowitego.

Marzył o ucieczce. Pragnienie, by pobiec za nią na górę i dokończyć to, co zaczęli, było równie silne.

Co robić? Najrozsądniej, oczywiście, byłoby odesłać ją z powrotem do sutereny. Uczciwość kazała mu odrzucić to rozwiązanie.

Dlaczego pozbawiać ją tej jedynej szansy wyrwania się z nizin społecznych tylko dlatego, że on nie umie nad sobą panować? Zwłaszcza że ta dziewczyna robi ogromne postępy. Niezbyt często ją chwalił, bo wiedział, że czeka ją jeszcze wiele pracy. Widział jednak, że Rocky bardzo się stara.

Gdyby tylko nie była taka uparta i skłonna do buntu. Gdyby tylko nie wzbudzała w nim takiego pożądania.

Od tej chwili postanowił być ostrożniejszy. Wiedząc, jak działa na niego jej zapach, miękkość ciała, reakcja na jego pieszczoty, postanowił, że to nie może się już nigdy powtórzyć. Co więcej, winien jej był przeprosiny.

Czuąc ogromny ciężar tego zadania, wspiął się po schodach na górę. Już po drodze słyszał dobiegający z pokoju Rocky hałas - trzaskanie drzwi, suwanie szuflad. Najwy-

rażniej szuka rzeczy, w których tu przybyła. Nie wie, że Worth osobiście je skonfiskował i polecił McGuire'owi zniszczyć wszystko lub wyrzucić.

Kiedy zapukał do drzwi, w pokoju zapadła natychmiastowa cisza. Potem usłyszał pociągnięcie nosem, jakiś trzask i przekleństwo.

- McGuire? - spytała po chwili niepewnie.

- To ja, Roxanno. Otwórz.

- Mowy nie ma, profesorze! - krzyknęła, a w jej głosie nie było już wahania.

- Chciałbym z tobą porozmawiać i wołałbym zrobić to natychmiast. Proszę, otwórz drzwi. Nie odejdę, dopóki mnie nie wpuścisz.

Z początku myślał, że go zignoruje, ale po krótkiej chwili drzwi się otworzyły. Stała w nich Rocky, ale unikała spojrzenia mu w twarz. Wcale go to nie zdziwiło. Nie chciała, by widział, że płakała, tak jak on wołałby nie wiedzieć, że ją do tego doprowadził.

Z obawy, że już po pierwszych słowach zamknie mu drzwi przed nosem, Worth wszedł do środka. Splótł ręce, by powstrzymać się od otarcia jej łez.

- Nic ci nie jest?

- Niech ci się nie wydaje, że to przez ciebie - mruknęła, wycierając policzki rękawem swetra. - Przycięłam sobie palec szufladą.

- Mógłbym go obejrzeć?

- Nie.

- Może chciałabyś, żeby McGuire ci coś przyniósł? Lód albo proszek przeciwbólowy?

- Nie! Mów, co chciałeś powiedzieć, i spadaj stąd, bo muszę skończyć to, co zaczęłam.

Kiedy próbowała go wyminąć, chwycił za rozluźnioną niebieską aksamitkę, którą związała włosy.

- A jeśli powiem, że przyszedłem cię przeprosić?

- Wypchaj się - burknęła Rocky, próbując wyrwać mu wstążkę.

Worth nie puszczał.

- Rozumiem, że jesteś zła i czujesz się zraniona.

- Nie masz nawet pojęcia, co czuję, więc oszczędź sobie tych wykładów. Ależ ja byłam głupia, myśląc, że coś z tego będzie.

- Będzie, zobaczysz.

Rocky nadal trzymała wstążkę, Worthowi więc udało się ją do siebie przyciągnąć i chwycić za ramiona.

- Posłuchaj mnie, Roxanno. Biorę całą winę na siebie.

Wiem, że posunąłem się za daleko.

- Problem z pańską grą, panie Drury, polega na tym, że sam pan nie wie, jakie powinny być jej zasady.

- To nie jest gra. - Starał się nie myśleć o przyjemności, jaką daje mu dotyk jej ciała. - I wiem, jakie są zasady. Po prostu przez moment nie zwracałem na nie uwagi, bo musiałem przekonać się, jak smakują twoje usta.

Rocky przestała się wrywać i spojrzała mu w oczy.

- A czego się spodziewałaś? Kłamstwa?

- I nie zawiodłam się.

Worth puścił mimo uszu tę zniewagę.

' - Jak długo zazwyczaj trwają twoje romanse? - spytała, przyglądając mu się uważnie.

- Moje... Wydaje mi się, że to nie twoja sprawa.

- Ależ moja, skoro mam być porównywana ze wszystkimi kobietami, które cię zawiodły.

Worth nie od razu zareagował.

- Nie będziesz z nikim porównywana, bo między nami nie będzie tego rodzaju związku - wyjaśnił po chwili.

- Chcesz tym samym powiedzieć, że zaspokoiliś już swoją ciekawość?

Uniosła brwi, a jej zdziwienie wydało się Worthowi jeszcze bardziej podniecające niż gniew.

- Chcę powiedzieć, że nie muszę wsadzać ręki do ognia, by wiedzieć, że się oparzę.

- Czy to tak zwany dwuznaczny komplement?

- Nie. To zwyczajna ocena sytuacji. Czy uważasz, że wyjaśniliśmy już sobie to nieporozumienie?

- To nie było nieporozumienie, ale kłótnia.

- Roxanno...

- Dobrze. Nie wyniosę się. Ale - okrążyła go, by móc spojrzeć mu prosto w oczy - nie myśl sobie, że przestanę mówić, co myślę.

- Nigdy w to nie wątpiłem - rzekł, czując niewypowiedzianą ulgę. - Byłbym zapomniał - dodał, ruszając ku drzwiom.

- Postanowiłem, że jutro zrobimy sobie przerwę w nauce. Pora, by uzupełnić trochę twoją garderobę. Potem zjemy obiad na mieście i przetestujemy twoje nowe umiejętności.

- Obiecuję, że nie będę siorbać.

- Ale może przewrócisz kieliszek.

Worth opuścił jej pokój w dużo lepszym humorze.

- Różowa? Chciałbyś, żebym chodziła w różowej? - Rocky nie mogła uwierzyć, kiedy Worth wybrał suknię w takim właśnie kolorze i kazał ją ekspedientce zanieść do przymierzalni. - Chyba żartujesz.

- Ten konkretny odcień nazywa się różany i będzie ci w nim bardzo do twarzy.

- To może od razu oblejesz mnie lukrem - zaproponowała i szybkim spojrzeniem omiotła wieszaki. Od razu znalazła coś, co bardzo jej się spodobało. Skórzany kostium w kolorze makowej czerwieni. - Popatrz na to. W tym będzie mi idealnie.

- Proszę zanieść tę różaną suknię do przymierzalni - zwrócił się Worth do sprzedawczyni. - Pani zaraz tam przyjdzie.

Z pełnym rezygnacji westchnieniem Rocky odwiesiła z powrotem skórzany komplet. Była przekonana, że gdyby ją w nim zobaczył, szybko zmieniłby zdanie.

- Dobra, to w końcu twoje pieniądze.

- Ta suknia będzie idealna na wernisaż, o którym ci mówiłem. Gdybyś zjawiała się w tej skórze, wszyscy myśleliby, że ściągnąłem cię z jakiejś agencji towarzyskiej.

- Jak będę w tych różowościach, też tak pomyślą... tyle tylko, że uznają, iż lubisz dziwadła.

Worth roześmiał się cichutko.

- Nieźle kombinujesz, ale nic z tego. Przejdźmy teraz do sukni wieczorowych. Może zdążymy coś wybrać, zanim wrócisz ta pirania.

Uradowana, że Worth nie dał się zwieść wystudionym uśmiechom ekspedientki, Rocky przeszła za nim do sąsiedniego stoiska. Suknia wieczorowa? Dokąd on chce ją zabrać?

Pod wpływem impulsu chwyciła pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w oko. Bananowożółta tafta i koronki.

- Popatrz! Skąd wiedzieli, że przyjdziemy?

- Cóż za skromność! Obejrzyj tę.

Chcąc nie chcąc, Rocky odwiesiła na wieszak bananową kreację. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Worth wybrał dla niej cudenka z ciemnogranatowego jedwabiu, z jednym

tylko ramiączkiem i stanikiem udekorowanym srebrnymi gwiazdeczkami. Czy on naprawdę uważa, że mogłabym coś takiego na siebie włożyć? zastanawiała się, przykładając do siebie cieniutką jak mgielka materię.

- O to właśnie mi chodziło. Idealnie współgra z kolorem twoich oczu.

Mówił tonem raczej obojętnym, ale Rocky to nie przeszkadzało. Zwróciła tylko uwagę na to, że Worth stara się wybrać dla niej najbardziej odpowiednią kreację.

- Chcę ją przymierzyć jako pierwszą - szepnęła, gładząc suknię.

- Nie. Zachowaj ją na koniec.

- Ale...

- Na koniec.

Narzekając na szarogęszących się mężczyzn, Rocky zniknęła w przymierzalni.

Pół godziny później, krążąc między Worthem a trzyczęściowym lustrem, uznała, że może rzeczywiście ten człowiek zna się na damskich strojach. Kostiumy i suknie, które dla niej wybrał, określał jako klasyczne, ona zaś zauważyła tylko, że czuje się w nich dorosła i kobieca. Nie mogła już się doczekać, kiedy zacznie je nosić. Nawet ten różany strój wydawał jej się w porządku.

Najpiękniejsza była jednak owa kreacja wieczorowa - lub raczej ona wyglądała w niej najpiękniej. Powiedziało jej o tym spojrzenie Wortha, kiedy wyszła w tej sukni z przymierzalni. Znieruchomiał, a oczy zaszyły mu wilgotną mgielką.

- Czyż nie jest zachwycająca? - spytała, robiąc pełny obrót.

- Zachwycająca.

- Z inną fryzurą, może z włosami do ramion, pani będzie

wyglądała w tej sukni uroczonie - dodała z krzywym uśmiechem sprzedawczyni. - Jeśli pan chce, mogę polecić znakomitego fryzjera.

- Nikt nie tknie jej włosów.

Rocky zeszywniała i poszukała jego odbicia w jednym z luster. Jeszcze nigdy nie słyszała w jego głosie takiej złości. Nawet wczoraj, podczas kłótni, mówił dużo łagodniej.

- Oczywiście teraz pani też nie prezentuje się źle - powiedziała szybko ekspedientka. - Powiedziałabym, że wygląda dość... egzotycznie.

Worth nic nie odpowiedział. Wyjął z portfela wizytówkę i podał ją kobiecie.

- Proszę przysłać mi rachunek do biura. Roxanno, zaczekam na ciebie przed sklepem.

Gdyby nie widziała, z jakim trudem przelęka ślinę, byłaby urażona. Dopiero wtedy zrozumiała.

Worth nadal jej pragnie.

Chwilę później, ubrana w swą nową różaną suknię, siedziała naprzeciw niego przy stoliku w jednej z położonych na dachu wieżowca bostońskich restauracji. Zbyt podniecona, by skoncentrować się na menu, podziwiała cudowne rośliny, orchidee i fontanny.

- Czy chcesz zapoznać się z kartą dań drogą telepatii?
- spytał Worth.

- Nie gniewaj się. To wszystko jest takie zachwycające. To najfantastyczniejsze wnętrza, jakie w życiu widziałam - oprócz twojego domu, oczywiście.

- Oczywiście.

- Czy tu jest nieprzyzwoicie drogo? Wydałeś już fortunę na moje ubrania.

- Nieprzyzwoicie. Mam nadzieję, że będziesz się cieszyć każdym kęsem.

- Spróbuję.

Worth uniósł wzrok znad karty, a ona uśmiechnęła się do niego szeroko. Wyraźnie zawstydzony, szybko spuścił oczy. A więc to jednak zupełnie normalny mężczyzna, ucieszyła się, otwierając kartę. Nagle z jej ust wyrwał się pełen przerażenia jęk.

- Co się stało?

- Nic dziwnego, że mogą tu zatrudniać tylu kelnerów. Niektóre z tych rzeczy kosztują więcej, niż ja zarabiałam przez cały dzień, zmywając naczynia!

- Uważam, że nadużywasz słowa „rzecz”. Istnieje wiele innych rzeczowników - wtrącił Worth.

- No niech ci będzie. Ale czy jeśli nie dam rady zjeść wszystkich tych rze... potraw, czy będę mogła prosić o zapakowanie resztek do domu?

Worth omal nie przewrócił karafki z wodą. Najwyraźniej zdarzyło mu się to po raz pierwszy, bo zrobił się czerwony jak burak.

- Zdziwiłbym się, gdybyś o to poprosiła.

- Dlaczego?

- Bo... bo to francuska restauracja, Roxanno.

- Nie rozumiem.

- Później ci wytłumaczę - odparł i wrócił do lektury karty dań.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Dobra, wytłumacz mi, o co w tym wszystkim chodzi. Dzieciaki w mojej dzielnicy malują lepsze rzeczy, używając głównie farby w sprayu - szepnęła Roxanna, krzywiąc się na widok pochłapanego farbą płótna, zajmującego w galerii prawie całą ścianę.

Worth pociągnął łyk szampana, choć zazwyczaj prawie w ogóle go nie pijał. Dało mu to czas, by znaleźć właściwą odpowiedź. Ostatnio coraz częściej zdarzało mu się to w jej obecności.

- To chyba powiedział Tolstoj: „Sztuka to nie rzemiosło, to przedstawienie uczuć, jakich doświadczył artysta”.

- W takim razie temu biednemu człowiekowi przydałyby się długie wakacje i ucieczka od jego rzeczywistości. Na przykład wypoczynek w obitej miękkimi materacami celi.

Worth wsunął jej rękę pod ramię i skierował w przeciwnym kierunku.

- Chcesz powiedzieć, że nie podoba ci się ta wystawa?
- spytał.

- Ależ skądże. Bawię się naprawdę cudownie. Tyle tylko, że ten cytat jest równie bez sensu jak stwierdzenie, że im mniej, tym lepiej, którym uraczyłeś mnie parę tygodni temu po wizycie we francuskiej restauracji. Nadal uważam, że gdyby podawali tam porządne porcje, a nie takie na jeden kęs, to

mieliby mniej talerzy do zmywania, a ja nie miałabym potem kłopotów z żołądkiem.

- Miałaś kłopoty, bo zjadłaś nie tylko swój deser, ale i mój.
Roxanna delikatnie uderzyła go programem po ramieniu.

- Panie Drury, to bardzo niekulturalnie wypominać damie takie rzeczy.

Worth z trudem powstrzymał wybuch śmiechu.

Minęło sześć tygodni, pomyślał, prowadząc ją do następnej sali, a on wcale nie czuje się zmęczony wyzwaniem, jakie stanowi dla niego Rocky. Ma lotny umysł, jest silna duchem, a jej energia jest wyjątkowo inspirująca. Pomijając okazjonalne spory, przykłada się bardzo do nauki i w ciągu kilku tygodni zdobyła dyplom równy maturze.

Parę dni temu, mimo że zaczął się już drugi semestr, Worthowi udało się ją umieścić na uniwersytecie. Miała braki, była więc daleko w tyle za resztą grupy. Worth wobec tego narzucił jej bardzo surowy reżim, by jak najszybciej nadrobiła zaległości. On sam też nadal regularnie z nią pracował. Zbyt lubił te ich spotkania, by z nich zrezygnować. Na razie. Mimo że nazywała go tyranem.

Był gotów jakoś to przecierpieć. Tylko myśl o życiu bez niej - a codziennie przypominał sobie, że w przyszłości będzie to nieuchronne - zaczynała go niepokoić.

- O... popatrz.

Jej szept położył mile widziany kres tym smutnym rozmyśleniom i przywrócił przyjemność, jaką zawsze odczuwał w jej towarzystwie. Zadowolony, że zwróciła uwagę na rzecz, którą właśnie chciał jej pokazać, poprowadził ją do szklanej rzeźby stojącej pośrodku sali. Przedstawiała ląbędzia z rozwiniętymi do lotu skrzydłami i wygiętą w łuk szyją. Było to prawdziwe dzieło sztuki.

Worth jednak zamiast skupić się na rzeźbie, obserwował Roxanne. Patrzył zafascynowany, jak z zachwyconą miną z trudem powstrzymuje się, by nie pogłaskać łabędzia.

- To jest naprawdę... Czy „nadzwyczajne” będzie odpowiednim określeniem?

- Tak. - Patrzył, jak odbite od kryształu światło tańczy na jej twarzy i włosach. - „Nadzwyczajne” to chyba właściwe słowo.

- Nigdy nie widziałam czegoś tak prawie doskonałego.

- Zaraz zaczniesz szukać jakiejś skazy, bo świadomość, że ideał istnieje, bywa zbyt bolesna.

- Nie dla mnie. Patrząc na to... cieszę się, że żyję.

- Skąd ten zachwyty na twojej twarzy, braciszku?

Choć Worth spodziewał się spotkać na wystawie wielu znajomych, ostry głos brata był ostatnią rzeczą, jaką miał ochotę usłyszeć tuż po tym wyznaniu Roxanny.

- Odczep się, Chase.

Nie zrażony reakcją brata Chase Drury mrugnął do niego, obszedł łabędzia i obdarzył Roxanne najbardziej zabójczym ze swych uśmiechów.

- Wielki Boże, ależ ty jesteś piękna. Worth, staruszk, jestem pod wrażeniem twojej znajomej.

- Ten szampan najwyraźniej ci nie służy - odparł Worth, dając bratu wyraźne do zrozumienia, że jego towarzystwo jest mu niemiłe. - Przeszkadzasz mojemu gościowi.

Brat zignorował go i ujął lewą dłoń Roxanny.

- Chciałbym się przedstawić. Jestem wesołym i uroczym bratem tego poważnego staruszka. Chase Martel Drury, z przyjemnością do pani usług, panno...?

- Roxanna Grimes - poinformował go bez cienia entuzjazmu Worth.

- Ale przyjaciele mówią do mnie: Rocky - dodała.

Worth jeszcze bardziej posmutniał, widząc wesoly uśmiech na jej twarzy. W różowym kostiumie wyglądała jak symbol wiosny i szczęścia. A on już uważał ją za swoją własność.

- Jestem oczarowany - rzekł Chase, muskając wargami palce jej dłoni. - Proszę o dożywotnie członkostwo w klubie pani wielbicieli.

Teraz jego brat zna już dotyk jej skóry. Wie, że pachnie jaśminem. Perfumy o takim zapachu wybrała spośród wszystkich dostarczonych jej przez McGuire'a. Worth schował rękę do kieszeni, powstrzymując się przed pokusą spoliczkowania swego przystojnego brata. Co się z nim dzieje?

- Gdzie ten mój dużo starszy brat cię znalazł? - dopytywał się Chase, nie zwracając nadal uwagi na zachowanie Wortha.

- W rynsztoku. - Błysk w jej oczach dowodził, że Roxanna też ma ochotę na zabawę.

Jak można się było spodziewać, Chase patrzył na nich jak oniemiały.

- Tam właśnie wylądowałam, kiedy mnie potrącił.

- Zawsze mu mówiłem, żeby nie czytał gazety, idąc po chodniku - poinformował ją przepaszającym tonem Chase.

- O nie, on wcale nie szedł, tylko jechał.

- To prawda? - Chase z niedowierzaniem zwrócił się do brata.

- Zapomniała tylko dodać, że to był wypadek. Czy czasem ktoś na ciebie nie czeka, Chase?

Jego szaroniebieskie oczy, które odziedziczył po matce, pełne były lekceważenia.

- Nie dzisiaj - odparł krótko Chase i odwrócił się do Roxanny. - Na twoim miejscu pozwolę tego drania do sądu.

Jest obrzydliwie bogaty. Nawet by nie zauważył ubytku pieniędzy, choć jego cholerna duma na pewno by z tego powodu ucierpiała.

Roxanna potrząsnęła głową. Worth miał wrażenie, że patrzy na jego brata jak na wyrosnięte dziecko. Tylko dlatego nie chwycił Chase'a za kark i nie wyrzucił z sali. Bo obecnością innych zwiedzających na pewno by się nie przejmował.

- To by było bez sensu - wyjaśniła Rocky. - Choć z początku byłam wkurzona - o, przepraszam, zła - wcale nie odniosłam szczególnie poważnych obrażeń. A poza tym pański brat zachował się wobec mnie super.

- On pierwszy by ci powiedział, że nasz ojciec wychował tylko jednego idiotę - rzekł Chase i spojrzął tym razem na brata. - Już ją widzę w perłach. Szafiry oczywiście wydobyłyby kolor tych jej niesamowitych oczu, ale perły na tle tej skóry...

- Nie chcę żadnej drogiej biżuterii - oznajmiła Roxanna.

Chase zrobił krok do tyłu.

- Dlaczego?

- Bo on już i tak tyle dla mnie zrobił.

W oczach Chase'a pojawiły się figlarne ogniki.

- Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś tak to określał, ale...

- Wobec tego, Chase... - zaczął Worth.

- Finansuje moją edukację.

- Podręczniki zamiast klejnotów - roześmiał się Chase.

- Nigdy bym na to nie wpadł.

- To nie wszystko. Daje mi mieszkanie i utrzymanie.

Wierz mi, dla kogoś takiego jak ja, przebywanie w takim wspaniałym miejscu...

- Chcesz powiedzieć, że zainstalował cię u siebie?

Worth omal nie jęknął. Że też akurat jego własny brat

poznał tę tajemnicę! Wiedział, że to wszystko jego wina; powinien wcześniej ustalić z Roxanna, jak ewentualnie wyjaśniać całą sytuację. Teraz brat przede wszystkim poinformuje o tym ojca - który na pewno nie będzie tym zachwycony - a potem rozpowie wszystkim innym, poczynając od przedstawicieli najbardziej plotkarskich brukowców.

- O co tu chodzi, braciszku? - spytał Chase, patrząc na niego z zainteresowaniem.

- Nie wyobrażaj sobie za wiele - ostrzegł go Worth.

- Czemu nie? Nawet Erica spędziła pod twoim dachem tylko jedną noc, a przecież wszyscy spodziewali się, że się z nią ożenisz.

- Musimy już iść, bo inaczej będziemy spóźnieni na kolację - zwrócił się Worth do milczącej Roxanny, ignorując brata.

- Oczywiście. Jak sobie życzysz. Którędy...

- Chwileczkę! Nie ruszaj się - krzyknął Chase, patrząc z zachwytem na Roxannę, która uniosła rękę ku włosom. - To niesamowite.

- Co?

Rocky zrobiła ostrożny krok do tyłu, omal nie strącając tacy z szampanem. Worth podtrzymał ją w ostatniej chwili. Odruchowo zamierzał już wziąć kolejnego drinka.

- Podobieństwo między tobą a nią.

Roxanna spojrzała na niego pytająco, Worth więc nie mógł uniknąć odpowiedzi.

- Zbieram prace tego artysty - wyjaśnił, wskazując głową rzeźbę łabędzia. - Mój brat chce powiedzieć, że jesteś podobna do jednej z takich rzeźb.

- Wiesz doskonale, o czym mówię, i wiesz też, że to dużo więcej niż tylko podobieństwo, stary. Wygląda, jakby do niej

pozowała. - Przyglądał się Roxannie spod półprzymkniętych powiek. - Nie powiedział ci o Galatei? Nie, widzę, że nie. Chyba igrasz z ogniem, braciszku.

- Jeśli nie chcesz wydać majątku na operację plastyczną - odparł spokojnie, ale groźnie Worth - to proponuję, byś natychmiast przypomniał sobie, że jesteś umówiony.

- A, rzeczywiście, zwłaszcza że widzę, iż nie jestem tu mile widziany - zaśmiał się Chase i z galanterią ujął dłoń Roxanny.

- Musimy dokończyć tę rozmowę. Może przy obiedzie?

- To będzie...

- Niemożliwe - skończył za nią Worth. - Nie zapominaj o nauce, Roxanno.

- Pamiętaj też, że co za dużo, to niezdrowo. - Chase nachylił się i pocałował ją w policzek. - Wkrótce pogadamy. Pa, maleńka.

- O co tu chodzi? - spytała Roxanna, kiedy wreszcie zostali sami.

- Nie ma o czym mówić. Idziemy?

- Już wychodzimy? Przecież nie obejrzelśmy jeszcze nawet połowy wystawy.

Worth odstawił pusty kieliszek.

- Ja widziałem aż nadto.

- Dobrze. Jak sobie życzysz.

W normalnej sytuacji taka reakcja Roxanny wydałaby się mu podejrzana, teraz jednak był po prostu wdzięczny Rocky za jej potulność. Wziął ją za łokieć i poprowadził ku najbliższemu wyjściu.

- Dziękuję - mruknął pod nosem.

- Nie ma za co.

Podając jej w szatni płaszcz, zauważył smutek na jej twarzy. Czyżby sprawił jej przykrość? Czym? Jego złość skie-

rowana była przeciw Chase'owi i tylko przeciw niemu...

Czyż nie?

- To zupełnie ciebie nie dotyczy, Roxanno - dodał, mniej niż zwykle pewny siebie.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Na pewno znajdziesz jakiegoś filozofa, który powiedział: „Ten, kto płaci rachunki, ustala warunki” - odparła i wyszła na ulicę.

Worth westchnął i podążył za nią.

- Jesteś zła.

- A nie powinnam, prawda? Nigdy nie było mowy, że będziesz mnie traktował jak równą sobie, nawet kiedy zaczęłam poprawnie mówić i będę miała czyste paznokcie.

- To cios poniżej pasa.

- Wychowałam się na ulicy, Worth - odparła, a głos jej lekko drżał. - Kiedy ktoś zrobi mi krzywdę lub mnie zrani, cierpię, lecz wiem, że muszę dalej walczyć o przetrwanie. Jeśli ci się to nie podoba, to lepiej dajmy sobie spokój.

Roxanna wsiadła do auta, zanim Worth zdążył jej pomóc. Dopiero kiedy dojechali do skrzyżowania, zdobył się na odpowiedź.

- Między mną a moim bratem nie najlepiej się układa. Miałaś właśnie doskonałe tego świadectwo.

- Szkoda. Mnie się on wydał całkiem zabawny.

- Ma trzydzieści lat i nie ma w nim za grosz powagi, radzę ci o tym pamiętać. Wierz mi, mimo całej swojej ogłady nigdy nie traktował żadnej kobiety serio.

- Wierzę ci - odparła Roxanna, spokojnie wygładzając spódnice. - Bo wydaje mi się, że w tym akurat przypadku trafił swój na swego.

Worth omal nie wpadł na taksówkę, która zatrzymała się przed nim na czerwonym świetle.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Oj, tylko tyle, że choć różnicie się sposobem zachowania, to w głębi serca obaj jesteście snobami. I obaj boicie się odrzucenia.

- Zdziwiasz mnie. Jeszcze nawet nie zaczęłaś zajęć z psychologii, a już zajmujesz się psychoanalizą.

- Wychowałam się wśród mężczyzn. Nauczyłam się ich obserwować. - Odwróciła się i spojrzała na niego. - Opowiedz mi o swoich stosunkach z matką.

Worth mocniej zacisnął ręce na kierownicy.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Nigdy o niej nie mówisz. W twoim domu nie ma jej zdjęcia. McGuire też nigdy nie słyszał, by ktoś o niej wspominał...

- To znaczy, że ty i McGuire rozmawiacie o mnie za moimi plecami?

Wiedział, że bardzo się zaprzyjaźnili i że dużo ze sobą rozmawiają, ale żeby dyskutować o nim!?

- Nie dałam mu wyboru - odparła z przywilnym uśmiechem Roxanna. - Wiesz, jak mu dokuczałam, by wreszcie przestał dawać mi owsiankę na śniadanie.

- Nawet mi nie przypominaj.

- Nie miał jednak wiele do powiedzenia, więc nie wiń go za moją...

- Nieustępliwość.

- Niech będzie.

Worth przez chwilę rozważał jej słowa. Dlaczego miałyby nie wiedzieć? To żadna tajemnica ani tragedia. Po prostu... życie.

- Matka porzuciła nas, kiedy miałem siedem lat, a Chase dwa - odparł, jakby recytował numer swego telefonu. - Po-

znała włoskiego hrabiego, którego hobby były wyścigowe samochody, i uznała, że życie z nim będzie bardziej ekscytujące. Sześć miesięcy później zginęli w wypadku w Apeninach, jadąc z Rzymu do Mediolanu.

- To... straszne.

- Taki był jej wybór. - Worth wzruszył ramionami. Dawno już odsunął od siebie myśli o matce.

- Porzuciła swoje dzieci. - Roxanna zacisnęła ręce na torbecce. - Ja, podobnie, jak Chase, miałam więcej szczęścia. Straciłam matkę, kiedy byłam mała. Prawie nie pamiętam jej twarzy.

- Co się z nią stało?

- Piła, tak jak dziadek. Dlatego ja unikam alkoholu. Boję się, żeby to, co ich zabiło, nie zniszczyło i mnie. Z początku jej pijackie transy były parodniowe, potem już tygodniowe. Pewnego dnia odeszła. Nawet nie wiem, z czego żyła. Wolę o tym nie myśleć.

- A gdzie jest twój ojciec?

- Nie mam pojęcia. Nawet jeśli matka w ogóle wiedziała, kto nim był, nigdy nie powiedziała o tym nawet Badgerowi. Dziwne, nie?

Worth z radością powitał wynurzające się zza chmur słońce. Raziło go w oczy i pod tym pretekstem mógł spokojnie zamrużyć powiekami.

Nie chciał aż tyle czuć. Szczególnie do niej. Jeśli tylko zacznie... nie. Chce, by jego życie pozostało takie, jak do tej pory. Uporządkowane. Pod kontrolą.

Ciekawość była jednak silniejsza.

- Dlaczego mi o tym powiedziałaś? Mam wrażenie, że nie jest to historia, którą chętnie opowiadasz.

- Powiedziałam ci, bo chciałam, żebyś zauważył, że choć

z pozoru możemy się różnić, w środku każdy z nas ma jakieś bliźny.

- Za kilka lat będziesz przemądrzałą babą.
- To chyba lepsze niż być denerwującą.

Jej cichy śmiech ogrzał go jak słońce i uwiódł. Sam się zdziwił, kiedy za chwilę usłyszał swe własne słowa.

- Zachowałem się tak także dlatego, że byłem zazdrosny o Chase'a.

- Wiem.

- Naprawdę? - spytał, wjeżdżając wolno na parking restauracji.

Roxanna kiwnęła głową.

- Muszę też przyznać, że bardzo mi to pochlebia. Nigdy przedtem nikt nie poświęcał mi tyle uwagi. Oczywiście kiedyś tak nie wyglądałam.

Roxanna spojrzała na zachodzące słońce, a Worth przez moment w milczeniu obserwował jej profil.

- Daję ci słowo - rzekł, przez wzgląd na nią, ale i na siebie, - że nasze stosunki nigdy nie przekroczą ustalonych granic.

- Wierzę ci, że z początku takie były twoje intencje. Ale ja się zmieniam, Worth. I ty też.

- Chcesz powiedzieć, że nie będę w stanie nad sobą panować?

Było to głupie pytanie. Byli tak blisko siebie, że kiedy w końcu podniosła wzrok, musiał stoczyć ze sobą ciężką walkę, by nie poddać się czarowi jej ciemnoniebieskich oczu, ocienionych firanką gęstych rzęs.

- Nie muszę. W tej właśnie chwili chcesz mnie pocałować - szepnęła.

Był to strzał w dziesiątkę, ale duma kazała mu zaprotestować.

- Naprawdę? A może to ty tego chcesz?

- Mój drogi, gdybym chciała, żebyś mnie pocałował, dawno dałabym to jasno do zrozumienia.

Co powiedziawszy, Roxanna wspięła się na palce i dotknęła wargami jego ust.

Nie był to bynajmniej pocałunek namiętny, więc Worth zdziwił się silną reakcją swego ciała. Oszołomiony bliskością i zapachem Roxanny, ujął delikatnie jej głowę i przyciągnął do siebie. Wpił się w jej usta i zmienił ten delikatny pocałunek w głęboki i namiętny.

Zapomniał, gdzie są. Nie pamiętał o obietnicy, którą dał jej i sobie przed chwilą. Wiedział tylko, że pragnie więcej.

Cichy jęk Roxanny okazał się równie ekscytujący, jak dotyk jej palców na jego płaszczu, krawacie, koszuli. Pragnął, by go dotykała. On też pragnął jej dotykać, położyć na siedzeniu i przykryć całym sobą. Potem poznawać... jej piersi, tak delikatne i jędrne. Rękami i ustami... Tylko świadomość tego, gdzie się znajdują, powstrzymywała go od poddania się temu pragnieniu.

- To wariactwo - szepnął.
- Oboje tego chcieliśmy.
- To jeszcze nie znaczy, że postępujemy właściwie.
- Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? Zmusił się, by wypuścić ją z objęć, i opadł na fotel. Powoli odzyskiwał rozsądek.

- Mieszkasz pod moim dachem. W dawnych czasach powiedziano by, że jesteś pod moją kuratelą.

- Bzdura. Nie jesteśmy spokrewnieni, a ja jestem pełnoletnia.

Nie chciał myśleć o jej wieku i zastanawiać się nad moralnymi obligacjami związanymi z tym, czego się podjął. Nie chciał myśleć o tym, co czuł, trzymając ją w ramionach, dotykając i poznając słodycz jej ust.

Mocno zacisnął powieki.

- Twoim pierwszym mężczyzną powinien być ktoś, kogo kochasz.

- Rozumiem. Wiesz o tym z doświadczenia?

Wiedział, że zasłużył na nagane, słyszalną w jej głosie.

Unikając odpowiedzi, wyciągnął kluczyk ze stacyjki.

- Chyba jesteśmy trochę za wcześnie, ale w weekendy gra tam w holu wspinały pianista.

- Ależ z ciebie hipokryta, Worth - parsknęła gorzkim śmiechem Rocky. - Mój pierwszy kochanek powinien być kimś, kto przejmie się tym, że to mój pierwszy raz. Proszę, odwieź mnie do domu. Straciłam apetyt.

- Możemy porozmawiać?

Kiedy Worth wreszcie wyszedł do pracy, Rocky od razu zabrała się za McGuire'a. Ubrana w kombinezon w kolorze czerwonego wina, obdarzyła Anglika swym najbardziej zniewalającym uśmiechem. Jak już przyznała się Worthowi, nie był to pierwszy raz, kiedy chciała z nim porozmawiać.

- Potrzebuję twojej pomocy.

McGuire uważał się za specjalistę od jedzenia, a jedynym tematem, na jaki nie lubił rozmawiać, był jego chlebobawca. Jedynym zaś tematem, jaki chciała poruszyć Rocky, był właśnie Worth.

Po pamiętnym epizodzie w aucie wyraźnie jej unikał. Podczas ich niedzielnej i poniedziałkowej nauki skupiał się wyłącznie na pracy.

Biorąc pod uwagę namiętność ich pocałunku, Rocky uznała jego zachowanie za bardzo wymowne.

- Czy coś się stało, panno Roxanno?

Rocky skrzywiła się na dźwięk tego imienia.

- Kiedy jesteśmy sami, wołałabym, żebyś nazywał mnie Rocky.

- Panu Drury'emu na pewno by się to nie podobało - uważał lokaj.

- A co, założył tu wszędzie podsłuch? Czy co wieczór wzywa cię do konfesjonu? Zajrzyjmy do kuchenki mikrofalowej. Może tam coś zainstalował.

- Pan Drury ma prawo ustalać pewne zasady, panienko. To jego dom.

- O, na pewno. A czy tobie podoba się, że mówi do ciebie po nazwisku, jak nauczyciel w szkole?

- Ja... Taki już jest zwyczaj.

- A jak masz na imię?

- Rafe.

- Wiesz co, będę do ciebie mówić Rafe, a ty do mnie Rocky. Oczywiście, kiedy będziemy sami - dodała, widząc przestrach w oczach służącego.

- To by było sympatycznie, ale boję się, że się zapomnę i pan Drury będzie na mnie zły. Czy chciała pani czegoś jeszcze, panno... Rocky?

- Nie żądam, byś nadużył jego zaufania. Chcę tylko... Pewnie uważasz tę całą sytuację, moje mieszkanie tutaj i w ogóle, za dziwne.

- Interesy i życie prywatne pana Drury'ego to nie moja sprawa.

- Nie ma między nami romansu.

- Dzięki za informację. Co będzie właściwsze - gratulacje czy kondolencje?

- Sama nie wiem. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- Ze mną? Jeśli o mnie chodzi, wolałbym dyskutować nad wyższością jogurtu nad śmietaną.

- Pomóż mi! Nie mam do kogo się zwrócić, a zupełnie nie umiem sobie z tym mężczyzną poradzić.

- Jak każdy. To bardzo silny i zdecydowany człowiek. Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś tak zrównoważonego i niezależnego.

To było dokładnie to, czego Rocky nie chciała usłyszeć. Że zakochała się w mężczyźnie, który wcale nie chce być kochany.

- Pragnę o nim wiedzieć jak najwięcej - przekonywała McGuire'a. - Czy ma jakieś marzenia? Co mu sprawia przyjemność? Czy zauważyłeś, jak rzadko się uśmiecha? Przecież ten człowiek ma wszystko. Czemu nie jest szczęśliwy? Dlaczego nigdy nie wybuchnął śmiechem, nie zrobił niczego spontanicznego?

- Raz dał mi pół poniedziałku wolnego, kiedy postanowił odwiedzić pannę... do... A, nieważne.

Rocky nie naciskała. Nie chciała nic wiedzieć o kobietach w życiu Wortha. Zwłaszcza o tej, która miała na imię Erica.

- Przypomniałam sobie, że muszę jeszcze coś przeczytać przed zajęciami - mruknęła i ruszyła ku drzwiom.

- Podwożę cię do biblioteki - zaproponował zdziwiony, ale i zadowolony z zakończenia wreszcie tej rozmowy McGuire.

- Mmm... Nie, dzięki. Podjadę autobusem.

Kilka minut później wyszła z domu i skierowała się w kierunku dokładnie przeciwnym, niż można było się spodziewać. Przynajmniej ksiądz Carmichael będzie zadowolony.

Widząc jej postępy w nauce zaproponował, by uczyła czytania dzieciaki ze schroniska. I robiła to, kilka razy w tygodniu, w tajemnicy przed Worthem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Gdzieś ty, do cholery, była? Już miałem dzwonić na policję - krzyknął Worth, który najwyraźniej czekał na Rocky w holu.

Nie dał się zwięść jej uśmiechowi. Widział, że czuje się winna.

- Wróciłeś wcześniej? Czy też ja się spóźniłam? Hej, a może ty jesteś chory?

Worth rzeczywiście czuł się źle, ale nie z powodu grypy czy czegoś takiego. Oczywiście, jeśli uznać, że niepokój i podejrzliwość nie robią takich samych szkód w ludzkim organizmie, jak wirusy.

- Może skupmy się na jednym pytaniu, dobrze?

Starał się mówić spokojnie i obojętnie. Cholera, czekał na nią tyle godzin. Wrócił wcześniej, bo miał dla niej niespodziankę - kolację w restauracji, a potem teatr. W nagrodę za ciężką pracę i pilność.

Znając dokładnie rozkład jej zajęć, wiedział, że powinna być w domu już od trzech godzin. Przez ten cały czas odchodził od zmysłów, wyobrażając sobie, co się stało. Uznał więc, że ma prawo być zły.

Stała w drzwiach, tuląc do siebie książki i zeszyty, a on, patrząc na nią, absolutnie wbrew sobie, poczuł nagle znane mu już pożądanie. Na próżno przekonywał sam siebie, że to dlatego, iż w powietrzu czuje się już wiosnę. Oszalał na pun-

kie tej dziewczyny, a ona nie jest wobec niego lojalna... lub nawet go zdradza. Czuł to aż nadto wyraźnie.

- Byłam... na zajęciach - powiedziała, patrząc mu w oczy. Chciała wiedzieć, czy naprawdę jest zły.

Czarno-czerwony kostium podkreślał jej długie nogi i szczupłe biodra. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie jej kupił, a teraz żałował, że nie wybrał czegoś mniej rzucającego się w oczy lub wręcz nie zostawił jej w tamtych łachmanach, które miała na sobie, kiedy się poznali.

- Nie, nie byłeś - odparł i zacisnął pięści.

Najbardziej ze wszystkiego nie znosił kłamstwa. Ojciec go przekonywał, że w interesach czasami jest ono nieuniknione, ale Worth nie zmienił zdania.

- Dziś piątek. Skończyłaś zajęcia o trzeciej.

- Zgadza się. Później byłam w bibliotece.

- Nigdy nie siedzisz tam tak długo.

- Kiedy jestem sama, to rzeczywiście nie.

Aha, pomyślał. Miał wrażenie, że ziemia zaczyna usuwać mu się spod nóg.

- Byłaś z kimś?

- Spotkałam kogoś z grupy. Najpierw wspólna nauka, a potem... kawa w uniwersyteckim bufecie.

Było to zupełnie prawdopodobne wyjaśnienie, a jednak Worth miał wrażenie, że w żołądku skaczą mu rozżarzone węgle.

- Miałem pewne plany. Dla nas.

- Bardzo mi przykro. Przecież o nich nie wiedziałam. Gdybyś mi wcześniej powiedział...

- To miała być niespodzianka.

Uważał, że za swoją ciężką pracę zasłużyła na uznanie, nie mówiąc już o nagrodzie. Wiedział, że ostatnio dużo od niej

wymagał. Choćby nie wiem jak się starała, żeby go zadowolić, on ograniczał swe pochwały do minimum i zawsze znajdował jakieś braki. Nie dlatego, że nie widział, jak dobrze sobie radzi, i nie doceniał jej osiągnięć, ale dlatego, że próbował nie myśleć o niej jako o kobiecie i o tym, że z każdym dniem bardziej jej pożąda.

- Teraz już za późno na kolację, ale do teatru jeszcze byśmy zdążyli... to jest, jeśli masz ochotę?

- Za parę minut będę gotowa - odparła z ulgą, że jej się upiekło.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Po kilku minutach zjawiała się w holu, ubrana w szary kostium z perłowymi guzikami. Powstrzymując się od zachwyty nad jej wyglądem, Worth po prostu poprowadził ją do auta.

Sztuka, w dodatku czteroaktowa, kompletnie ich rozczarowała. Ledwo wysiedzieli do końca.

- Jesteś głodna? - spytał Worth, kiedy w końcu znaleźli się z powrotem w aucie.

- Nie bardzo. Ale jeśli ty jesteś...

- Nie.

Worth włączył silnik i ruszył w kierunku domu. Po kilku minutach ciekawość zwyciężyła.

- Ten twój kolega z klasy... to bostończyk?

- Nie przypominam sobie, żebym ci mówiła, że mam koleżkę.

- Wobec tego ja pytam. Tak czy nie?

- A nie przychodzi ci do głowy, że to mogłaby być osoba płci żeńskiej?

- To oczywiście możliwe, ale mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, że sama mnie o tym nie poinformowałaś.

- Może nie zrobiłam tego, ponieważ nie lubię, gdy masz do mnie pretensje, jeśli rozmawiam z kimkolwiek oprócz ciebie.

- Czyżbyś czuła się jak w więzieniu?

Odpowiedziała mu milczeniem.

- Rozumiem - mruknął, wyraźnie zraniony. - Może jestem surowy, ale to tylko dlatego, że wiem, jakie pułapki czekają cię na drodze do wiedzy. Ale skoro czujesz się taka nieszczęśliwa, to może powinnaś jeszcze raz zastanowić się nad sensem naszej umowy.

- Może.

Worth nie odważył się wrócić do tego tematu. Przez cały następny tydzień codziennie szukał pretekstu, by spędzać w domu jak najwięcej czasu. Przy okazji miał możliwość zaobserwować, jak zaprzyjaźnili się ze sobą Rocky i McGuire.

- Naprawdę wyrzucili cię z królewskiego pałacu? - usłyszał raz, przechodząc obok kuchni. Przyciągnął go tam śmiech Rocky.

Ku swemu zaskoczeniu usłyszał, że i jego lokaj umie się dobrze bawić. Krztusząc się ze śmiechu opowiedział jej, jak przyłapano go, gdy rzeźbił w maśle królewski profil.

Była to bardzo zabawna historia, ale zazdrość nie pozwoliła Worthowi tego przyznać. Duma zaś kazała mu wycofać się do gabinetu.

Od tamtej pory atmosfera na lekcjach była bardzo napięta.

- Nie wymawiaj w ten sposób tego słowa.

- Dlaczego? - spytała Roxanna, podnosząc wzrok znad gazety.

- Tak mówiło się przed wojną.

- Lektor w wiadomościach też tak mówi.
- A ty uważasz go za wzór do naśladowania, tak? Myślisz, że wszystko sprawdza w słowniku?
- Jak to dobrze, że zawsze mogę liczyć, iż wyprowadzisz mnie z błędu.

Worth zdjął okulary i zamknął teczkę, której zawartość przeglądał z udawanym zainteresowaniem.

- Zdaje się, że jesteś w zaczepnym nastroju.
- To wpływ towarzystwa.
- Sugerujesz, że moje zachowanie pozostawia wiele do życzenia?

- Niczego nie sugeruję. Chase mówi, że już w dzieciństwie byłeś twardy, ale...

- Kiedy rozmawiałaś z moim bratem?
- Zje... zjedliśmy razem obiad któregoś dnia. - Rocky wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. - On jest bardzo zabawny, Worth.

A ja nie, pomyślał.

- To akurat nic nowego. Interesuje mnie tylko, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Dlaczego? - powtórzył.

- Bo to przecież nie miało z tobą nic wspólnego. Posłuchaj...
- Spojrzała na trzymaną w rękę gazetę i wykrzyknęła z udawaną wesołością: - To ci na pewno poprawi nastrój, Worth. Pewien ekonomista przewiduje rychły kryzys finansowy.

W najbliższą sobotę Worth dużo wcześniej niż zwykle zakończył swą cotygodniową partię golfa. Jego stały partner źle się poczuł, a on nie miał ochoty grać bez niego.

Idąc po schodach do swego pokoju, natknął się na wyraźnie zaskoczoną tym spotkaniem Rocky. Ubrana w czerwony sweter i czarne spodnie ewidentnie dokądaś się wybierała.

- Dokąd idziesz?

- Ja... tylko na spacer. A ty czemu nie grasz w golfa?

Wyjaśnił jej krótko przyczynę swego wcześniejszego powrotu i kontynuował przesłuchanie.

- Czy coś się stało? Skąd ten pośpiech?

- Jest taka piękna pogoda, że aż żal siedzieć w domu.

- Wszystko już odrobiłaś?

- Worth, przecież jest sobota. Czy naprawdę nie zasługuję na odrobinę swobody?

Nie, odpowiedział jej w myślach. Nie, bo dzień i noc o tobie myślę. Nie, bo doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Rocky zarumieniła się, zupełnie jakby wiedziała, o czym Worth myśli.

- To się musi skończyć - szepnęła. - Już dłużej nie wytrzymam.

- Ty nie wytrzymasz?

- Traktujesz mnie jak jakiś rzadki kwiat z oranżerii. Albo gorzej - jak psa na smyczy!

- Zachowuj się jak osoba dorosła, to przestanę!

W jej błękitnych oczach szalały ogniki złości.

- Idę do parafii świętego Tymoteusza. Nie na spacer. Chcę spotkać się z przyjaciółmi i ludźmi, którzy mnie potrzebują.

Z przyjaciółmi. Z jakimi przyjaciółmi? Gdzie byli ci ludzie, kiedy omal jej nie zgwałcono?

Przecież już na samym początku powiedział jej, że nie życzy sobie, by chodziła sama do tamtej części miasta. Skoro on do dziś nie mógł zapomnieć tego, co omal jej nie spotkało, to dlaczego ona o tym nie pamięta? Nie rozumiał też, czemu nie potrafi zapomnieć o tamtym schronisku. Nie potrzebowała przecież tych wszystkich bezdomnych, biednych, niewy-

kształconych ludzi. Worth posłał im nawet spory czek, by uspokoić jej sumienie.

- Dzielę się z dziećmi ze schroniska tym, czego się nauczyłam! - krzyknęła z irytacją Rocky. - Prowadzę dla nich zajęcia wyrównawcze z czytania. No i znasz już cały mój sekret!

Worth myślał wyłącznie o tym, że nie będzie to, na co miał nadzieję, tylko jedna, spontaniczna wizyta.

- Jak często tam chodzisz? - spytał cicho.

- A co to za różnica? Potrzebuję mojej pomocy i tylko to powinno się liczyć. To także jedyne miejsce, gdzie nie muszę zważać na każde słowo czy na sposób, w jaki siedzę czy jem. I wiesz co jeszcze, Worth? Są tam ludzie, którzy uważają, że jestem cudowna, nawet jeśli od czasu do czasu zrobię jakiś błąd. Ciebie nigdy nie mogę zadowolić - mówiła dalej, a w jej oczach pojawiły się łzy złości. - Wychodzisz ze skóry, by znaleźć błąd we wszystkim, co robię. Jesteś w stosunku do mnie zawsze taki chłodny.

- A ty wobec mnie sarkastyczna.

- Dobrze wiesz, dlaczego. Nienawidzę, jak tak na mnie patrzysz, a potem karzesz, bo nie chcesz czuć tego, co odczuwasz.

- To nie jest sprawa do dyskusji, Roxanno.

- Zgadza się. Ależ byłam głupia, myśląc, że możemy o tym porozmawiać. Przepraszam, autobus mi ucieknie.

Próbowała go wyminąć, ale on chwycił ją mocno za ramię, gotów rzucić się pod pędzącą taksówkę, gdyby tylko dzięki temu mógł ją powstrzymać. Nie spodziewał się jednak, że jest tak silna i zwinna. Jednym gwałtownym ruchem szarpnęła rękę i uwolniła się.

Dogonił ją dopiero w połowie schodów i przyciągnął mocno do siebie.

- A niech cię...-mruknął.
- Puść mnie.
- Nigdy.

Uświadomił sobie, że powiedział prawdę, a ponieważ wołał raczej nie myśleć, co to naprawdę znaczy, uciszył więc ją gwałtownym pocałunkiem. Runęły wszystkie bariery, które ostatnio między nimi budował. Czuł wyłącznie bolesne, oślepiające pożądanie. Wiedział, że musi ją mieć, zanim oszaleje.

Rocky z początku opierała się, unikała jego pocałunków, odpychała Wortha. Kiedy jednak zamknął ją w swych silnych ramionach, nie miała żadnych szans. Nie wiedząc o tym, naiwnie próbowała jeszcze negocjować.

- Worth, przestań. Nie mogę znieść takiej huśtawki.
- Zgadzam się. Ja też nie.

Całował ją znowu, aż przestała walczyć., W końcu nawet objęła go za szyję i przywarła do niego mocno.

Worth był tym zachwycony.

- Pragnę cię, Roxanno.

Rocky odsunęła się odrobinę, na moment spojrzała mu prosto w oczy, w końcu ujęła w rękę jego głowę.

- Powiedz to jeszcze raz.
- Pragnę cię. Chcesz mi powiedzieć, że ty tego nie chcesz?
- Nie. Ale mam jeden — przez chwilę jakby szukała odpowiedniego słowa - warunek.

Negocjacje - najstarsza na świecie gra między kobietą a mężczyzną.

- Jaki? - spytał, ignorując gwałtowne bicie serca. I świadomość, że gotów jest zapłacić każdą cenę.

- Przestań mnie nazywać Roxanna.

Worth nie wiedział, jak zareagować.

- Jestem Rocky. Chcę, żebyś mówił do mnie: Rocky.

- Tylko tyle? - spytał z ulgą, zawstydzony, że podejrzewał ją o najgorsze zamiary.

- Dla mnie to dużo. Jestem Rocky, nie Roxanna. Tylko tym mogę się przed tobą bronić.

- Czyżbyś się bała, że wiedząc, iż to twój pierwszy raz, nie będę czuły i delikatny? - spytał, gładząc jej policzek.

- Pragnę cię, ale muszę zachować własną tożsamość. Powiedz to, Worth.

Worth gotów był nawet ukłęknąć. Ciekawe, jak by na to zareagowała.

- Pragnę cię... Rocky.

- To się ze mną kochaj - szepnęła, obejmując go znów za szyję.

Jeszcze nigdy w życiu nie była tak pewna podjętej decyzji. Kiedy Worth uniósł ją w ramionach, zrozumiała, że jest to jedyny mężczyzna na świecie, z którym chce dzielić tę chwilę. Zdając sobie z tego sprawę, gotowa była oddać mu się całkowicie. Niezależnie od tego, co będzie później, wiedziała, że tajemnicę i magię tego popołudnia zachowa w pamięci do końca życia.

Przy nim czuła się jak księżniczka z bajki. Kiedy wniósł ją do jej własnego pokoju, miała wrażenie, że ze wszystkich stron oświetlają ich promienie słoneczne. To ściany w kolorze kości słoniowej, bladożółte draperie i pościel stwarzały to złudzenie. Obejrzy mnie dokładnie, pomyślała, ale świadomość ta wcale jej nie zawstydziła. Chciała, żeby Worth zobaczył ją całą, a i ona nie mogła doczekać się, kiedy zobaczy jego nagość.

Położył ją w poprzek łóżka, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i wyciągnął się obok niej.

Czuła całe jego ciało, ale była to bliskość zupełnie niepodobna do tej, którą pamiętała z ich wspólnego tańca. Wsunął rękę w gęstwinę włosów Rocky i poszukał ust, co w tej pozycji było wyjątkowo podniecające. Rocky jednak zupełnie się nie bała. Czuła, jak spływa na nią jego siła, wspiera ją i dodaje pewności siebie.

- Powiedz mi, jeśli za bardzo się będę spieszył - szepnął Worth, wędrując ustami po jej szyi. - Mów, jeśli będę cię czymś krępować.

- To akurat niemożliwe - zapewniła go.

Worth uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Przecież nawet nie wiesz, czego od ciebie chcę.

- To nieistotne - odparła bez wahania. - Kiedy tak na mnie patrzysz, czuję tylko gorąco i... pragnienie, byś mnie dotykał... całował.

- Tak jak teraz?

Pogładził ją po policzku, kciukiem musnął dolną wargę, potem szyję i lewą pierś. Miała na sobie gruby sweter, a jednak jej ciało zareagowało natychmiast.

- Tak - szepnęła i wygięła się w łuk, poddając się pieszczocie.

- Tego wieczora, kiedy zobaczyłem cię nagą w mojej wannie, ledwie się powstrzymałem, by się nie rozebrać i nie porwać cię w ramiona.

- Wtedy się ciebie bałam.

- Ale teraz nie?

- Teraz wiem tylko, że umrę natychmiast, jeśli przestaniesz to robić.

Na przemian obrysowywał kontur jej piersi i kciukiem muskał sutkę. Zaskoczyła ją własna reakcja na tak subtelną pieszczotę. Ciekawe, co będzie dalej? pomyślała.

- Powiniennem cię udusić za to, że chciałaś wyjść z domu bez stanika.

Mimo tej reprimendy nie przerwał pieszczot. Rocky jęknęła z zachwytu.

- Nienawidzę staników. Zrozumiałbyś mnie, gdybyś sam musiał nosić coś takiego. Wolę dotyk jedwabiu na skórze. Kiedyś zastanawiałam się, czy pieszczotę ust też będę tak odczuwać.

- Nie ma porównania - odparł z uśmiechem znawcy Worth. - Moje usta będą dużo przyjemniejsze.

Zanim się zorientowała, była już bez swetra.

- Jesteś w tym bardzo dobry - zauważyła z podziwem.

- Nie tak jak ty w dręczeniu mnie. Ostrzegam, że jestem od ciebie dużo bardziej doświadczony. Możesz się jeszcze wycofać.

Rocky pokręciła głową i umieściła jego rękę na czerwonym jedwabiu swej halki.

- To dobrze, że choć jedno z nas wie, co robić. Naucz mnie wszystkiego.

Kiedy znowu ją całował, wiała się pod nim i jęczała. Ramięczka halki zsunęły się i zachwycony bielą jej piersi Worth przyłgął do nich ustami.

Rocky instynktownie przyciągnęła do siebie jego głowę.

- Wspaniale - szepnął Worth. - Zrób tak jeszcze raz.

Zdyszana i spocona Rocky roześmiała się i odgarnęła mu włosy z czoła. Potem zaczęła rozpinać jego koszulę. A przynajmniej próbowała. W tej samej bowiem chwili Worth musiał zapoznać się z jej drugą piersią. Później jednak pozwolił Rocky zająć znowu koszulę, a potem czekał cierpliwie, kiedy patrzyła na niego z zachwytem.

Czy to możliwe, by mężczyzna był tak piękny? Wiedziała,

że jest wysoki i silny, ale teraz, zanurzając palce w czarnej gęstwinie na jego piersi, cieszyła się jego fizyczną doskonałością.

- Nie krępuj się - wykrztusił z trudem Worth. - Rób to, na co masz ochotę.

Zachęcona nachyliła się i omiotła jego pierś włosami.

- Pojętna z ciebie uczennica - szepnął i przyciągnął ją do siebie.

Tym razem ich pocałunek był szybki i namiętny. Worth zsunął ręce na jej biodra i przycisnął Rocky mocno do swego podnieconego ciała. Rytmiczne ruchy języka współgrały ze zmysłowym unoszeniem się i opadaniem jego bioder.

- Tak będzie, kiedy znajdę się w tobie - szepnął. - Tylko jeszcze lepiej.

- Szybko - jęknęła przekonana, że lepiej być nie może.

- Nie. - Worth zlizął pot znad jej wargi i opuścił Rocky na łóżko. - Jeszcze nie. Nie wolno się spieszyć. To coś, co będziemy chcieli zapamiętać. Na zawsze.

Przesunął usta w dół ciała Rocky i delikatnie rozpiął jej spodnie. Kiedy przywarł wargami do koronkowego trój kącika jej fig, jęknęła.

- Worth!

Nie odpowiedział, lecz wolniutko zaczął zsuwać jej spodnie. Tylko spodnie. Miała ochotę pocałować go za tę delikatność. Wiedziała, że go pragnie, i była pewna, że on czuje to samo, ale wdzięczna mu była za tę zwłokę.

Kiedy zsunął jej tenisówki, skarpetki i spodnie, gotowa była uklęknąć i zrobić to samo z jego ubraniem.

- Zdziwiasz mnie - rzekł.

- Wątpię. Widzisz, że w tej pozycji nie najlepiej mi idzie.

- To dlatego, że jestem podniecony - wyjaśnił spokojnie

Worth i wstał. Zrzucił buty, rozpiął pasek i bez wahania zdjął resztę ubrania. - Nie straciłaś odwagi?

Rocky wyciągnęła rękę. Chciała go dotknąć, a jednak nie mogła.

- Worth... Brak mi słów.

- Mnie nie. Bardzo się cieszę, że mnie pragniesz - rzekł. Nachylił się i leciutko ugryzł jej dolną wargę. - Bo chcę, żebyś przeżyła każdą chwilę dokładnie tak jak trzeba.

Podziwiała jego opanowanie, kiedy zaczął rozścielać łóżko. Potrafiła tylko cieszyć się, że ten niesamowity mężczyzna jej pragnie.

- Powinam ci pomóc...

- Cicho. Wiem, że to niezbyt romantyczne zajęcie, ale ponieważ to twój pierwszy raz, więc nie chcę, żeby zawstydziała cię...

- Krew?

Worth na moment zniknął w łazience i wrócił z dużym, zielonym ręcznikiem, który rozłożył na łóżku.

- Boisz się?

- Nie.

Ponieważ przez całe życie zawsze dokądś pędziła, nie raz zdarzyło jej się upaść i skaleczyć. Krew i ból nie były jej obce.

Była tylko jedna rzecz, którą należało wziąć pod uwagę.

- Powinam chyba zapytać o...

- Zabezpieczenie? - Worth sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małą foliową paczuszkę. - Teraz możemy już być znowu spontaniczni.

Jakby czytając w jej myślach, złożył na jej ciele kolejną serię pocałunków. Kiedy doszedł do bioder, zeszytywniał, z trudem powstrzymując pożądanie.

- Pomóż mi - wyszeptwała.

Worth bez słów zsunął tę ostatnią część jej garderoby i rzucał ją na podłogę. Potem palcami przesunął w górę nóg, a był to dotyk tak delikatny, że w oczach Rocky niespodziewanie pojawiły się łzy. A potem nastąpiło coś, na co zupełnie nie była przygotowana... nagle muśnięcie wargami na wewnętrznej stronie jej uda... a potem gorący oddech Wortha wędrujący coraz wyżej.

- Nie mów nic.

Nawet gdyby chciała, nie była w stanie nic powiedzieć, jedynie z zaciśniętych ust wyrwał się jęk rozkoszy.

- Tylko czuj - błagał. - Tak dobrze... słodko...

To, co nastąpiło potem, było tak oślepiające jak światło wypełniające pokój, tak ogłuszające jak fala, której dała się ponieść. Ruszyła odważnie w swą pierwszą podróż.

Pragnąc jego bliskości, nie bojąc się związanego z tym bólu, przyjęła go całą sobą, otoczyła nogami i przygłęła twarzą do jego szyi.

- Boli?

- Nie. To niesamowite. Czuję w sobie bicie twego serca.

Worth głośno wciągnął powietrze.

- To nie najlepszy moment na takie prowokacje. Ostrzegam cię, że już prawie dochodzę.

Rocky zsunęła ręce na jego pośladki. Z zachwytem stwierdziła, że nawet one są twarde i napięte.

- Powiedz, co mam zrobić, żeby było ci dobrze. Chcę, żebyś czuł to wszystko, co ja przeżywam.

Worth uniósł się na łokciu i Rocky po raz pierwszy dostrzegła w jego spojrzeniu niepokój.

- Po prostu bądź przy mnie i nie...

- Co? - zapytała, czując, że to coś ważnego.- Co, Worth?

- Nie przestawaj mnie pragnąć.

Zanurzywszy twarz w jej włosach, jęknął i wszedł w nią głęboko. Raz. Potem drugi. A później opadł na nią ciężko i szeptał jej imię. Odpowiedziała mu tym samym.

Worth zamknął oczy, próbując odgrodzić się od rzeczywistości. Na próżno. Nic nie było w stanie wymazać prawdy, podobnie jak ta jedna skradziona godzina nie stłumiła pożądania, jakie czuł do tej drobnej kobiety, którą trzymał w ramionach.

Rocky. Jak szybko przyzwyczaił się nazywać ją tak nawet w myślach. Oczarowała go. Bał się, że zaczyna tracić kontrolę nad swym życiem i nad... uczuciami.

Czyżby to była miłość?

Wcale nie był z tego zadowolony. Nikt zdrowy na umyśle by nie był. Kręciło mu się w głowie. Brakowało powietrza. A mimo to wiedział, że jeśli otworzy oczy i spojrzy na tę piękną twarz, na nowo zapłonie pożądaniem.

- W filmach zazwyczaj w takiej chwili bohater ubiera się i mówi naiwnej bohaterce, że musi wyjechać, najczęściej w jakichś ważnych, niebezpiecznych sprawach - powiedziała Rocky. - Bąka kilka słów o tym, jaka to ona jest wspaniała, ale że on nie jest dla niej odpowiedni i powinna o nim zapomnieć.

- Nie mam w sobie nic z filmowego bohatera.

- Nie jestem pewna. Człowiek, który przyjmuje pod swój dach kogoś zupełnie obcego, musi być wyjątkowy. Rzykuje własne życie, by ocalić nieznaną. Żeby...

- Przestań. - Worth nie chciał dłużej słuchać tych pochwał. - Może nie zawsze jestem świnią, ale niezły ze mnie samolub. Przed chwilą ci to udowodniłem, wykorzystując twą słabość i wrażliwość. Czemu tego nie widzisz?

- Bo to był mój własny wybór. Choć może nie chcesz tego dostrzec, jestem kobietą dorosłą. Sama podejmuję decyzje i to była właśnie jedna z nich. Siebie możesz winić wyłącznie za to, że jesteś tak cholernie przystojny i pociągający, iż nie potrafiłam ci się oprzeć.

Worth uniósł się na łokciu i pogładził ją po włosach. Starał się nie patrzeć na jej słodkie usta, bo znowu ich pragnął.

- Głuptasek z ciebie. Wyjątkowy, cudowny głuptasek. Gdybyś miała choć odrobinę rozumu, kazałabyś mi trzymać się od siebie z daleka.

- Raczej poprosiłabym, żebyś znów się ze mną kochał.

- Rocky... - Worth był za słaby, by odmówić. Pocałował najpierw jej czoło, potem policzek i brodę. Nie był w stanie przestać. -Rocky...

- Wszystko w porządku - szepnęła, pieszcząc jego plecy.
- Nie skomplikuję ci życia.

Worth omal nie wybuchnął śmiechem. Skomplikować mu życie? Nie potrafił zostawić jej w spokoju i wcale nie żałował tego, co przed chwilą między nimi zaszło.

- Rocky - powtórzył. - Chcę, żebyśmy... Nie broń mi dostępu do swego pokoju i łóżka.

"- To znaczy, że chcesz, żebyśmy byli kochankami?"

Określenie to bardzo go zaniepokoiło. Przywołało mu oczywiście na pamięć obraz ich splecionych namiętnie ciał, ale i zabrzmiało tak... obcesowo.

- Bardzo tego pragnę i cieszę się, że to ty właśnie o tym zdecydowałaś.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że się zgodziłaś?

Tego już było dla Rocky za wiele. Już sam fakt spowiedzi był przecież wystarczająco stresujący. Z trudem powstrzymała wybuch histerycznego śmiechu.

- Proszę księdza, ksiądz ma mi wyznaczyć pokutę, a nie dyskutować - szepnęła przez kratki. - I tak mi jest trudno. Gdybym wiedziała, że to ksiądz dziś tu siedzi, a nie przygłuchy ksiądz Bascone, przyznałabym się tylko do kilku przekleństw i podobnych głupstw. Za nic nie powiedziałabym, że od dwóch miesięcy mam romans z Worthem.

- Nie mów mi takich rzeczy, Rocky - odpowiedział jej szepł ksiądz Carmichaela. - Grzech, popełniony z premedytacją, to najgorszy grzech.

- Ejże, przecież konfesjonał to miejsce, gdzie mamy być szczerzy, prawda?

- Wiem, że cię zawiodłem - westchnął ciężko ksiądz. - Jak tylko usłyszałem, że zamieszkałaś w domu tego człowieka, mogłem się domyślić, że jego intencje ani przez chwilę nie były szczerze.

- To nie księdza wina. Ten czek, który przesłał do schroniska, zwiódłby każdego. Mam pomysł. Może wyjdziemy z tego ciasnego pudełka i porozmawiamy normalnie. Bóg przecież słyszy nas wszędzie, prawda?

Kilka minut później Rocky i ksiądz Carmichael spotkali się w ogrodzie, otaczającym kościół, domek księdza i schronisko dla nieletnich, i we wczesnomajowym słońcu usiedli na metalowej ławeczce.

- Dziwi mnie twoje podejście do całej sprawy - zaczął ksiądz, spuszczając wzrok na swe ciasno splecione dłonie.

- Dlaczego? - roześmiała się Rocky. - Jestem szczęśliwa.

- Na jak długo?

- Nie wiem, Skąd można wiedzieć, jak długo coś potrwa? Czy to takie istotne? Znam niejedną parę, która jest małżeństwem od trzydziestu, czterdziestu czy nawet pięćdziesięciu lat i niech mi ksiądz wierzy, nie ma im czego zazdrościć. Latem, kiedy okna były otwarte, za każdym razem, kiedy przechodziłam obok ich domów, słyszałam krzyki i przekleństwa.

- W takich sprawach najważniejszym słowem jest małżeństwo, Rocky. Te pary, o których mówisz, przynajmniej nie żyją w grzechu.

- Może akurat tej zasady przestrzegają, ale łamią wszystkie inne. To, jak na mój gust, straszna hipokryzja. - Rocky spojrzała na zaszępioną twarz swego przyjaciela. - Worth jest dla mnie dobry. Bardzo czuły. Dbą o mnie.

- Nie na tyle, by uczynić z ciebie kobietę uczciwą.

Ponieważ w głębi ducha sama wołałaby być panną młodą niż kochanką, Rocky przemilczała tę uwagę. Chciała jednak, by ksiądz zrozumiał, dlaczego podjęła taką decyzję.

- Zawsze miał kłopoty z nawiązywaniem stosunków z ludźmi - powiedziała.

- To nie jest żadne wytłumaczenie.

- Ja go nie usprawiedliwiam, ja tylko chcę, żeby ksiądz go zrozumiał. - Rocky bezradnym gestem rozłożyła ręce. -

Jedną z rzeczy, których uczę się, żyjąc w jego świetle, jest to, że trzeba przestać przerabiać ludzi według swego gustu, lecz brać ich takimi, jacy są. Byłam zaskoczona, że ludzie tacy jak Worth prędzej zaryzykują własny majątek niż serce. A w tej chwili daje mi z siebie wszystko, co potrafi dać. I jest to coś cudownego.

Ksiądz Carmichael ujął ją za rękę .

- A jeśli okaże się, że nie potrafi dać ci nic więcej?

Ta myśl też kiedyś pojawiła się w jej głowie - na jakies dziesięć sekund. Żeby nie zwariować, usunęła ją w najdalsze zakamarki swego mózgu.

- Nie twierdzą, że znam wszystkie odpowiedzi, proszę księdza. Nie chcę teraz zastanawiać się nad tym, co będzie później. Najważniejsze, to cieszyć się chwilą bieżącą i nie marnować jej. - Kątem oka Rocky dostrzegła wchodzącą do schroniska jakąś rudowłosą kobietę. - Co mi przypomina, że muszę porozmawiać z Dani o Eddie'em. Słyszałam, jak mówił któremuś z dzieciaków, że spróbowałby wrócić do domu, gdyby był pewien, że jego starszy brat przestanie go bić. Może Dani udałoby się znaleźć tego brata i pogadać z nim.

- Coś mi się widzi, że szykuje się Dani nowa współpracownica - zauważył z uśmiechem ksiądz. - Ani się obejrzyysz i wsiąkniesz w nasze sprawy po uszy.

- To by nie było takie złe, prawda?

- Kim ona jest?

Rocky jeszcze raz pomachała ręką przez okno i odwróciła się do Chase'a.

- To teren zakazany - odparła.

- Mówisz o kościele?

- Nie, o Dani. O Danielle Lanier.

- Ładna. Ruda. Z klasą.
- Za ładna i za bardzo z klasą dla ciebie.
- Ej, myślałem, że się lubimy?
- Owszem - zapewniła go Rocky, zapinając pas. - Ale całe życie Dani kręci się wokół „Niebo może poczekać”, organizacji zajmującej się dzieciakami, które uciekły z domu i różnymi innymi biedakami, w ten czy inny sposób pokrzywdzonymi przez los. Oddała się tej sprawie całą sobą. Jej brat bliźniak, ksiądz pracujący w parafii Św. Tymoteusza, zginął tragicznie. Zastrzelił go jakiś smarkacz, bo wziął go za policjanta, który przyłapał go na sprzedaży narkotyków.

- To straszne. Ale ja i tak mam zamiar ją poznać.
- Jezu, ależ wy Drury'owie jesteście namolni.
- Możliwe, ale w odróżnieniu od mojego brata, ja pozwalam ci popełniać błędy.

Rocky wiedziała, o co mu chodzi. Od dwóch miesięcy, czyli od kiedy ona i Worth zostali kochankami, Chase stał z boku i obserwował z niepokojem całą sytuację, ale skrzętnie to ukrywał.

- Dobra, dobra. Zastanowię się. - Wiedząc, ile go to kosztowało, by wyrosnąć na człowieka tak różnego od brata i ojca, uznała, że najlepiej będzie zmienić temat. - Dzięki za podwiezienie. Co cię przywiodło w te strony?

- Firma rozważa rozpoczęcie tu nowego projektu, więc zaproponowałem, że obejrzę to miejsce.

- To dosyć ryzykowne.
- Poprosiłem o pomoc znajomego policjanta.
- Oj, wy Drury'owie - pokręciła głową Rocky.
- O, właśnie. Czy mój brat wie, że tu jesteś?
- Nie. Na pewno myśli, że jestem na zajęciach. Prowadzący odwołał je jednak z ważnych przyczyn osobistych.

- Wygląda na to, że nie tylko ja lubię w życiu odrobinę ryzyka.

Rocky wzruszyła ramionami. Jej zdaniem to wcale nie było niebezpieczne. Worth, co prawda, nie jest zachwycony, że tu bywa, ale najwyraźniej woli myśleć o tym, co ich teraz łączy, a nie dzieli.

- A wiesz co - mówił dalej Chase - mam wrażenie, że Worth ostatnio bardzo się zmienił. Parę osób w biurze bardzo się z tego cieszy i ma nadzieję, że taki już zostanie.

Rocky też. Jeszcze nigdy nie spotkała mężczyzny tak skomplikowanego jak Worth. Ogromnie dumny i zamknięty w sobie, bardzo wymagający jako nauczyciel. A jednak, kiedy byli tylko we dwoje... tak, wtedy był zupełnie inny.

Nie potrafił powstrzymać się, by jej nie dotykać. Kontakt fizyczny był mu potrzebny jak tlen, a i na nią też miał taki wpływ. Lekkie muśnięcie karku, kiedy przechodził obok niej, wystarczyło, by nie mogła się już skupić. Delikatne dotknięcie dłoni w restauracji pobudzało jej zmysły. Nawet kiedy uczyła się, a on pracował za biurkiem, spoglądał na nią co chwila, jakby sprawdzał, czy nie zniknęła.

A kiedy ulegał silniejszym namiętnościom... Pocałunek skradziony w ciemnościach teatru sprawiał, że jak para dzieciaków biegli do auta, by jak najszybciej znaleźć się w domu. Czasem, rozmawiając przez telefon, brał ją na kolana, a kiedy zaczynała go pieścić, kończył nagle rozmowę, chwycił w ramiona i niósł do sypialni. Czekala na te chwile, kiedy pokazywał jej się takim, jakim naprawdę był - mężczyzną, w którym zakochała się po uszy.

- Szkoda, że on nie poznał cię tak dobrze jak ja, Chase - powiedziała w zamyśleniu.

Na spotkaniach towarzyskich, na których czasem wszyscy

Drury'owie musieli być obecni, Chase zawsze pilnował, by Rocky miała z kim rozmawiać. Najbardziej była mu wdzięczna za to, że starał się wynagrodzić jej niechęć najstarszego z Drurych. Od pierwszej chwili Drury senior dawał jasno do zrozumienia, że nie pochwała jej obecności w życiu starszego syna i ma zamiar ją ignorować, z nadzieją że ten romans i tak szybko się skończy.

Wiedziała, czemu rubryki towarzyskie w gazetach nazywają Chase'a „paskudnym podrywaczem”. Uwielbiał kobiety i zawsze znakomicie się bawił - przynajmniej tak to wyglądało. Rocky czuła jednak, że młodszy brat Wortha jest lepszym aktorem, niż to się ludziom wydaje, i że tak samo jak Worth stara się ukryć swoją prawdziwą naturę.

Odpowiedź Chase'a była typowa dla wszystkich Drurych.

- To, że w odróżnieniu od starego nie staram się rządzić każdym, kto stanie mi na drodze, i że nie jestem stale posepny i zły jak Worth, nie znaczy wcale, że moje życie jest usłane różami.

- Ale tego po sobie nie pokazujesz.

- Myślę, że było mi trochę łatwiej niż Worthowi - przyznał po chwili Chase. - Byłem za mały, by tęsknić za matką i pamiętać jej twarz czy zapach. No i stary nigdy tyle ode mnie nie wymagał, co od Wortha.

- Czy to utrata matki sprawiła, że Worth tak nie ufa ludziom?

- To chyba nie jest takie proste. Worth to skomplikowana mieszanka wielu rzeczy. Nie chodzi tylko o to, że jest pierworodnym, następcą tronu i tak dalej. Już od małego słyszał poranne notowania tokijskiej giełdy. Pamiętam, jak w któreś Boże Narodzenie rano zbiegłem na dół i zastałem ojca przy telefonie (ciekawe, komu zepsuł dzień). Po chwili odłożył

sluchawkę, spojrzal na Wortha i mruknal: „, Nigdy nikomu nie ufaj, chłopcze. Jak tylko to zrobisz, zdradzą cię”.

- To straszne!

- Zależy, jak na to patrzeć. Być może jako człowiek Worth jest nieszczęśliwy, ale w interesach na pewno nie ma sobie równych.

Rocky poczuła jakiś dziwny dreszcz.

- Zasługuje na coś więcej - szepnęła.

- Myślę, że już to znalazł - odparł z uśmiechem Chase.

- O, cholera - zaklął nagle i gwałtownie zahamował.

- Co się stało?

- Worth wcześniej wrócił. Lepiej cię wysadzę tutaj.

Rzeczywiście, samochód Wortha stał przed domem. Rocky zebrała swoje podręczniki i odpięła pas. Nie wysiadła jednak, mimo że Chase zatrzymał się parę domów dalej.

- Nie - powiedziała. - Podjedź pod dom. Nawet jeśli Worth zobaczy nas razem, nie mam nic do ukrycia.

Chase spojrzal na nią, jakby podejrzewał, że postradała zmysły, w końcu jednak uległ jej żądaniu i zajechał przed dom brata.

Rzuciwszy szybkie podziękowanie, Rocky wyskoczyła z auta i pobiegła do wejścia. Pragnienie bycia z Worthem było silniejsze niż zdenerwowanie.

Otworzyła drzwi kluczem, który dostała od niego. Z kuchni wyjrzał McGuire, na którego twarzy pojawiła się wyraźna ulga. Ręką dał jej znak, że Worth jest na górze.

- Coś się stało? Zachorował? - spytała Rocky głośnym szeptem.

- Ty lepiej niż ja umiesz czytać z jego kamiennej twarzy

- odparł, wzruszając ramionami, lokaj. - Kazał mi tylko odbierać wszystkie telefony i ewentualnie przyjmować wiadomości.

Rocky przycisnęła książki mocniej do siebie i, zapominając o wszystkich poznanych ostatnio zasadach dobrego wychowania, wbiegła, pokonując po dwa stopnie, na górę. Od dnia tamtej strasznej awantury Worth jeszcze ani razu nie był w domu przed nią. Czyżby szykowała się następna? Może zapomniała, że mieli gdzieś razem pójść? Może widział ją z Chase'em i źle to zrozumiał?

Drzwi do jego sypialni były zamknięte. Dobry znak? Rocky wpadła do swego pokoju, rzuciła książki na pierwsze z brzegu krzesło i zamarła.

Na jej łóżku leżała różowa róża.

Zaskoczona, podeszła bliżej. Zdumiała ją nie tylko obecność kwiatu, ale i jego piękno.

Głęboko wzruszona tym dowodem czułości odwróciła się, by natychmiast pobiec do Wortha, i... zobaczyła go stojącego w drzwiach.

- Ach, ty podglądaczu! - krzyknęła i rzuciła się ku niemu.

- Padła mu w ramiona i zdusiła jego śmiech pocałunkiem.

Dopiero wówczas, kiedy zabrakło jej tchu, wysunęła się z jego objęć.

- Co cię sprowadza do domu o tej porze?

- Konieczność. Właśnie rozmawiałem przez telefon, z trzecim kłótliwym klientem tego popołudnia, kiedy nagle poczułem się zmęczony tym biciem głową w mur. Pomyślałem sobie, że mógłbym wrócić do domu i kontynuować te cierpienia, patrząc przynajmniej na piękną kobietę.

- Dziękuję ci bardzo!

Worth roześmiał się i musnął wargami jej ucho.

- A chcesz teraz poznać prawdziwy powód?

- Tylko wówczas, jeśli uwzględnisz w nim też tę wypowiedź o mojej urodzie.

- Masz to jak w banku. - Worth wziął ją na ręce i ruszył ku swej sypialni. - Wyglądałem przez okno z mojego biura i zobaczyłem na ulicy sprzedawcę kwiatów. Kiedy ujrzałem tę różową różę, przypomniała mi ona twoją skórę, kiedy siedzisz w mojej wannie. Zapragnąłem natychmiast znowu ciebie w niej zobaczyć.

Przeszedł szybko przez sypialnię i podszedł do drzwi łazienki.

- Worth, co ty kombinujesz? - zaniepokoiła się Rocky.

Była przekonana, że pod wpływem impulsu Worth jest w stanie zrobić zaledwie jedną rzecz.

W pośpiechu zrzuciła adidas i chwyciła go mocniej za szyję.

- O swoje dzinsy i sweter szczególnie się nie martwię, ale twemu garniturowi kąpiel na pewno nie posłuży! - krzyknęła, kiedy, wciąż trzymając ją w ramionach, wszedł do wanny.

- Worth, nie wierzę własnym oczom!

- Dlaczego?

Worth przysiadł i delikatnie zanurzył ich oboje w pianistej, pachnącej kąpieli.

- Bo... bo to takie... takie...

- Spontaniczne?

- Dziwne - odparła i zobaczywszy otwartą butelkę szampana stojącą na brzegu wanny, włożyła do niej otrzymaną od Wortha różę.

-Hej!

- Wypchaj się - mruknęła, objęła go za szyję i mocno pocałowała. Nie potrzebowała musującego wina, by czuć się szczęśliwą. Nie wymagała od Wortha żadnych słów czy gestów. To, że zrobił coś tak do niego niepodobnego, wzruszyło ją do głębi.

- Pomóż mi to zdjąć - szepnął, walcząc z jej mokrym swetrem.

Ukłęka przed nim i pomogła, a on przytulił twarz do jej piersi.

- O tak, tego mi było trzeba - szepnął, muskając wargami lewą sutkę. - Nalejmy sobie odrobinę szampana, najdroższa.

- Ja dziękuję.

- Może masz rację - zgodził się, patrząc z zachwytem na mlecznobiałe pólkule. - Wolę posmakować ciebie.

Kiedy ich mokre od wody ciała połączyły się, Rocky zamknęła oczy.

- Już nie mogę dłużej - usłyszała.

- Ja też.

- Weź mnie, Rocky. Weź całego.

Wszedł w nią głęboko, mocno, ale ostrożnie. Czuł wstrząsające ją spazmy i dołączył do nich swoje.

Jak zwykle po kochaniu się z Rocky, czuł, jak nie znane mu wcześniej uczucia przedzierają się przez barierę jego umysłu i goszczą w jego sercu. Uczucia, które tak bardzo go niepokoją.

Kiedy ta wyjątkowa kobieta, leżąca teraz w jego ramionach, złożyła na jego szyi kolejny leciutki pocałunek, Worth z trudem wrócił do rzeczywistości.

Rocky za każdym razem go zadziwiała. Była taka odważna, słodka, szczerą. Ufna. To przede wszystkim utrudniało mu trzymanie się swej najważniejszej życiowej zasady - by pożądanie nie wpływało na resztę spraw.

Wiedział, że do siebie nie pasują. Owszem, Rocky zrobiła ogromne postępy. Nieczęsto jej o tym mówił, ale bardzo był z niej dumny. Fakt jednak pozostawał faktem - pochodzą z dwóch zupełnie różnych światów.

A ona zasługuje na więcej.

Dała mu jednak coś, czego bardzo pragnął, coś, czego ciągle nie miał dosyć. No bo dlaczego przybiegł dziś do domu i zrobił z siebie idiotę? A ona? Nie wyśmiała go, lecz z ochotą przyłączyła się do zabawy.

Wolał nie myśleć, jak się to skończy. Czas pracował przeciwko ich romansowi. Dla dobra ich obojga musi o tym pamiętać.

Nagle wpadła mu do głowy przerażająca myśl.

- Dziękuję. - Słodki, zmysłowy głos Rocky tylko na moment pozwolił mu zapomnieć o niepewności. Strach szybko powrócił.

Jak mógł być tak nierozważny? Dlaczego zapomniał ją zabezpieczyć?

Zapomniał? On?

Sumienie jednak nie dawało mu spokoju. Myślał tylko o sobie, o swoim zaspokojeniu. Zlekceważył jej bezpieczeństwo.

Aż zaklął w duchu.

- Przepraszam, że zmarnowałam tę butelkę szampana - powiedziała Rocky.

- Nie przejmuj się. Jeden mały kwiatek na pewno mu nie zaszkodził. - Sięgnął po butelkę i przytrzymując palcem kwiat, nalał trochę wina do jednego z dwóch stojących obok kryształowych kieliszków.

Zlekceważył jej bezpieczeństwo. Po raz pierwszy w życiu był nieostrożny wobec kobiety.

Wyciągnął kieliszek w kierunku Rocky, a kiedy odmówiła, łąpczywie opróżnił go sam. Unikając jej zdziwionego spojrzenia, odstawił pusty kieliszek i palcami przecesał włosy.

- Worth? O co chodzi? - zaniepokoiła się Rocky, tak jeszcze niedawno szczęśliwa.

- O nic - odparł z gorzkim uśmiechem. - Tyle tylko, że zasłużyłem na baty.

- Jesteś najtroskliwszym i najbardziej wspaniałomyślnym mężczyzną, jakiego znam - zaczęła. Potem nachyliła się i złożyła jeden pocałunek na jego brodzie, drugi na ramieniu. Pocałowałyby i drugie ramię, lecz Worth szybko sięgnął po ręcznik i wyszedł z wanny. Komplementy były ostatnią rzeczą, jakiej miał ochotę słuchać.

- Worth...?

W jej głosie brzmiała niepewność i uraza.

- Lepiej się wytrzymaj, zanim zmarzniesz - mruknął, nie patrząc na nią.

Czuł na sobie jej wzrok. Zrozumiał, że musi spojrzeć jej prosto w oczy.

- Nie zabezpieczyłem cię - powiedział.

W jej oczach pojawiła się wyraźna ulga.

- Ufam ci, Worth. Sam mi mówiłeś, że zrobiłeś sobie testy.

O tym w ogóle nie pomyślał.

- Przed ciążą, Rocky. Nie zabezpieczyłem cię przed niepożądaną ciążą.

Ciche westchnienie było jej jedyną reakcją.

Podciągnęła nogi i oparła brodę o kolana. Otoczona pianą, wyglądała wyjątkowo pięknie. Jak syrena. Worth znowu poczuł przyływ pożądania i przez moment zastanawiał się nawet, że może powinni mieć ze sobą dziecko.

- Niepotrzebnie się martwisz - powiedziała cicho Rocky.

- Sama o tym pomyślałam.

Worth potrząsnął głową. Tym razem to on nie rozumiał.

- Tydzień po tym... po naszym pierwszym razie, poszląm

do lekarza. Powiedział mi, że nawet jeśli będziesz uważał, to... to, biorąc pod uwagę nasz nie unormowany związek, dodatkowe zabezpieczenie nie zawadzi. Dał mi receptę - wyjaśniła, widząc że nadal na nią patrzy.

Receptę. Obraz małego, różowego bobasa zniknął równie szybko, jak bańka mydlana.

Worth czuł się idiotycznie. Dopiero wówczas, kiedy Rocky stanęła obok niego, zauważył, że wyszła z wanny. Dotknęła jego ramienia.

- Powiedz coś.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Wiem, że powinnam. Przecież za tę wizytę i za pigułki zapłaciłam twoimi pieniędzmi.

- A co tu mają do rzeczy pieniądze! - Była to ostatnia rzecz, o której chciałby myśleć. To przecież on nalegał, by przyjmowała od niego pieniądze, bo nie chciał, by łączyła naukę z pracą.

- Po prostu wzięłam na siebie część odpowiedzialności - tłumaczyła dalej Rocky.

Okazała się dużo doroślejsza i bardziej odpowiedzialna od niego.

- Przepraszam cię. Jestem dzisiaj jakiś rozdrażniony.

- Nie, wydaje mi się, że nie w tym rzecz. Coś znów stworzyło między nami jakiś mur.

- Mówiłem ci, że to nie ma z tobą nic wspólnego.

- A ja ci nie wierzę. Czy chodzi o to, że uważasz, że za dużo czujesz, kiedy się kochamy?

Zawsze wiedział, że jest bystra, ale że aż tak...?

- Co?

- Uważam, że niepokoi cię to, co rodzi się między nami. Że się tego nie spodziewałaś i nie chcesz mnie potrzebować.

Przeraził się, słysząc własne myśli ubrane w słowa. Próbował uciec i od nich, i od niej.

- Nie potrzebuję nikogo, Roxanno - odparł zdecydowanie. - Nie bierz pożądania za coś innego. Nie chcę, żebyś cierpiała.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rocky przyjęła ten cios zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Przez najbliższe dni Worth dyskretnie obserwował ją kątem oka. Z dużym wysiłkiem udawała spokojną i w gruncie rzeczy obojętną.

Worth wiedział jednak, jak bardzo ją zranił. Nic nie było w stanie tego ukryć. Cień smutku w jej oczach był równie głęboki jak po śmierci Badgera. Zauważył też, że jedyną zewnętrzną zmianą w jej zachowaniu było zamykanie na klucz drzwi sypialni.

W piątek wrócił z pracy późno. Miał tylko tyle czasu, by się przebrać przed wyjściem na wieczorne przyjęcie. Problem polegał na tym, że już wiele tygodni wcześniej zaprosił na nie także Rocky. Teraz zupełnie nie miał pojęcia, czy będzie chciała z nim pójść.

Wszedł szybko do gabinetu, by zostawić teczkę. Na biurku leżała korespondencja, ale nie miał czasu jej przejrzeć. Kiedy usłyszał stukanie do drzwi, odwrócił się szybko z nadzieją, że to Rocky.

- Dobry wieczór panu. Późno pan dziś wrócił - rzekł wchodząc McGuire.

Worth nie był pewien, czy to on jest tego dnia bardziej drażliwy, czy też McGuire wygłosił swój komentarz ze szczególnym naciskiem.

- Miałem spotkanie na drugim końcu miasta - odparł.
 - Rocky już wróciła? - spytał, nie mogąc już dłużej powstrzymać ciekawości. Już dawno przestał wymagać od swego lokaja, by nazywał ją Roxanna albo panną Grimes.

- Parę godzin temu.

- Chcesz powiedzieć, że wróciła dziś wcześniej z parafii świętego... jak mu tam?

- Tymoteusza. Nie, proszę pana. W ogóle tam dzisiaj nie poszła.

Nie poszła do tego, jak go nazywa żartobliwie, swego drugiego domu?

- Przecież dziś piątek. Chodzi tam zawsze w poniedziałki, środy i piątki - zauważył Worth, który znał na pamięć rozkład jej zajęć.

- Ale dzisiaj nie poszła.

- Może źle się czuje?

- A wie pan, rzeczywiście jest dziś jakaś smutna. Z drugiej strony zauważyłem, że jest też trochę zaczerwieniona. Może to z gorączki. Ale...

- Nieważne - przerwał mu Worth, nerwowym ruchem przeczesując włosy.

- Wiem tylko, że dzwoniła gdzieś z pana gabinetu. Nie wiem, do kogo, ani o czym rozmawiała. Nie podsłuchuję cudzych rozmów. Odebrałem pański smoking z pralni i położyłem go na łóżku w pana sypialni. Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze, zanim wyjdę?

- Wychodzisz gdzieś?

- Obiecał mi pan przecież wolny wieczór.

Worth rzeczywiście zapomniał, bo kiedy mu o tym mówił, planował zupełnie inny scenariusz. On i Rocky wymykają się wcześniej z bankietu i biegiem wracają do domu, by się ko-

chać, bez obawy, że nagle, w najmniej odpowiednim momencie, zjawi się McGuire. Cholera, lepiej nie myśleć o czymś, co teraz jest bardzo mało prawdopodobne. Chciał jednak wiedzieć, czemu Rocky zmieniła swój rozkład dnia.

- Tak, dobrze. A więc idź - rzekł, ruszając ku schodom.

Jeszcze chyba nigdy nie szedł po nich tak szybko. Jeśli jest chora, to przez niego. W poniedziałek ma pierwsze egzaminy, a on sprawia jej takie przykrości.

Drzwi do jej pokoju były otwarte. Do jego sypialni też. Stał jak wryty, kiedy nagle pojawiła się w drzwiach.

- O! - krzyknęła. - Nie słyszałam...

- McGuire mówi...

Stali pół metra od siebie i patrzyli jedno na drugie. Worth z zachwytem, Rocky z ciekawością, ale i z niepewnością.

Miała na sobie ową wieczorową suknię, którą kupili podczas pierwszych wspólnych zakupów. Jak to możliwe, że nawet boso wyglądała w niej jeszcze piękniej niż wtedy, gdy mierzyła ją po raz pierwszy?

- Chciałam sprawdzić w twoim lustrze, czy nadal jest mi w niej dobrze - wyjaśniła po krótkiej chwili, która Worthowi wydała się wiecznością. - Trochę przytyłam.

- Nie musisz wyjaśniać ani przeproszać. Ja... czy postanowiłaś ze mną wyjść?

- Może nie powinnam myśleć, że mnie ze sobą zabierzesz.

- Rocky zmusiła się do uśmiechu. - Przypomniałam sobie jednak, jak mówiłeś, że nie znosisz takich imprez, a już szczególnie chodzić na nie sam.

- Nie poszedłbym, gdyby nie była to uroczystość na cześć ojca i w dodatku ważna dla firmy.

Idiota, wcale nie to chciał powiedzieć. Powinien przekonać

ją, iż jest wzruszony, że pamiętała, i głupio mu, ponieważ nie spytał jej wcześniej, a przede wszystkim powinien zapewnić Rocky, że nadal jej uroda zapiera mu dech...

- Jesteś pewna, że masz ochotę ze mną pójść? - spytał zamiast tego. - Wiem przecież, że nie przepadacie za sobą z moim ojcem.

- Nie idę tam przez wzgląd na niego.

Worth spuścił wzrok, bo nie mógł znaleźć słów, które wyraziłyby jego wdzięczność.

- Chyba i ty powinieneś się przebrać. Robi się późno.

- Tak. Już idę.

Ale to ona ruszyła się pierwsza. Kiedy była już w drzwiach, Worth uznał, że jest jej winien coś więcej. Dużo więcej.

- Rocky... Pięknie wyglądasz.

W jej oczach nie było śladu uśmiechu.

- Dziękuję. Cieszę się, że jesteś zadowolony ze swej inwestycji.

Rocky wolą nie myśleć o swym okrucieństwie. Uznała, że Worth sam jest sobie winien i powinien być jej wdzięczny, iż w ogóle chce z nim rozmawiać.

Znała już to uczucie trzymania się rzeczywistości pazurami. Było normą w czasach, kiedy walczyła o przeżycie własne i Badgera. Uwierzyła, że z Worthem już nigdy tego nie doświadczy. Okazało się jednak, że życie w wieży z kości słoniowej niekoniecznie oznacza bezpieczeństwo, mimo że zapewnia cię o tym sam książę.

„Uważaj, o co prosisz, bo możesz to dostać”. Tak brzmiało jej motto od dnia, kiedy Worth określił wyraźnie charakter ich stosunku i przywrócił mu właściwą perspektywę. Duma ka-

zała jej ukrywać, jak bardzo czuje się zraniona, ale wymagało to ogromnego wysiłku.

Niecałą godzinę później, siedząc obok Wortha przy stoliku naprzeciwko podium, na którym królował najstarszy Drury i kilku innych mówców, wiedziała, że pozornie wydaje się być zupełnie na właściwym miejscu. Jej suknia była równie elegancka jak suknia burmistrzowej czy żony prezesa. Była pewna, że podczas złożonego z czterech dań posiłku ani razu nie użyła niewłaściwego sztućca. Co więcej, podczas dyskusji o najbiedniejszych mieszkańcach tego miasta zasłużyła nawet na uprzejme kiwnięcie głową burmistrza. Niestety, w uszach cały czas dzwoniły jej słowa Wortha i czuła się jak intruz.

Nie bierz pożądanego za coś innego.

Nie, choćby nie wiem jak uprzejmi byli wobec niej ludzie zgromadzeni przy stoliku, wiedziała, że widzą w niej tylko kochankę Wortha. Świadomość ta powodowała nieprzyjemny smak w ustach, którego nie było w stanie wyeliminować nawet nieustanne popijanie wody.

W przyszłym tygodniu będą końcowe egzaminy. Pótem wyprowadzi się od Wortha. Dokąd, jeszcze nie wiedziała. W tej chwili jej plany, podobnie jak cele, były zupełnie nie sprecyzowane. Skupić się była w stanie jedynie na egzaminach.

Wiedziała, że będzie musiała od razu podjąć pracę. Połączenie tego z nauką nie będzie łatwe, ale nie ma innego wyjścia. Przynajmniej ma teraz odpowiednie kwalifikacje, by szukać czegoś lepiej płatnego.

Nagle podchwyciła spojrzenie Chase'a, który mrugnął do niej znacząco. Zrozumiała, o co mu chodzi. Sygnalizował jej,

że zbyt wiele maluje się na jej twarzy. Kochany Chase. Podziękowała mu spojrzeniem.

W tej samej chwili Worth położył dłoń na jej splecionych na kolanach rękach. Spojrzała na niego zaskoczona, ale on nie odrywał wzroku od podium. Zaciśnięte usta i dziwny błysk w oczach powiedziały jej jednak, że zauważył jej „rozmowę” z Chase'em i bynajmniej nie był tym zachwycony.

Spodziewała się, że ją to rozzłości, poczuła jednak smutek. Tak, to przygnębiające, gdy kochasz kogoś, kto widzi w tobie tylko obiekt pożądania.

Rocky z trudem dotrwała do końca przyjęcia. Słuchała mowy za mową i biła brawo mówcom, myślami była jednak gdzie indziej. A Worth przez cały czas gładził kciukiem jej dłoń.

Nie potrafił przestać. Zaczęło się to, co prawda, od złości na Chase'a, ale potem pieścił ją dalej, czując rosnący strach, którego nie potrafił wytłumaczyć. Nie patrzył na Rocky, bo bał się tego, co zobaczy w jej oczach.

Prawie nie słyszał przemawiających, nawet własnego ojca. Kiedy przebrzmiały ostatnie oklaski i goście ruszyli do wyjścia, Worth skorzystał z okazji, pomógł Rocky wstać, a potem ujął ją za ramię, jakby bał się, że tłum ich rozdzieli. Zdziwiło ją to, nawet zakłopotało, ale nie wyrwała mu ręki.

- No i jak wypadłem? - spytał pan Drury, kiedy rodzina spotkała się w hotelowym holu. - Danvers mówi, że już dawno nie mieli takich tłumów.

- To zrozumiałe - mruknął Chase. - Wszyscy wiedzieli, że następną taką okazją będzie dopiero twój pogrzeb.

Dopiero Rocky przerwała niezręczną ciszę.

- Gratuluję panu. Mało kto by sobie tak dobrze poradził.

Sтары Drury ledwo musnął ją spojrzeniem i zwrócił się do

kogoś za jej plecami. Rocky poczuła się głupio, Worth zaś był na ojca po prostu wściekły.

W.H. Drury rzeczywiście dał kiedyś jasno do zrozumienia, że nie pochwała ich związku. Może ma nawet rację, że to szaleństwo, gdy mężczyzna w jego wieku i z jego pozycją wiąże się z kimś tak młodym, prostym, a przede wszystkim pochodzącym z zupełnie innego kręgu społecznego. Może nawet uważa Rocky za naciągaczkę. Ale to wszystko nie usprawiedliwia takiego grubiaństwa i to w obecności innych ludzi.

- A niech cię, Worth, jeśli ty czegoś nie powiesz, to ja nie wytrzymam - mruknął przez zęby Chase.

- To wyłącznie moja sprawa - odparł Worth. - Ty się trzymaj od tego z daleka - ostrzegł brata i przeniósł wzrok na ojca. - Rocky przed chwilą powiedziała ci komplement, ojczu.

- Nic się nie stało - wtrąciła Rocky.

Worth nie odważył się na nią spojrzeć. Błaganie, jakie usłyszał w jej głosie, było aż nadto wymowne.

- Dla mnie tak. Ojczu?

Ton jego głosu zaniepokoił w końcu starego Drury'ego.

- Co...? Ja... Ja chyba... nie dosłyszałem...

- Wystarczy zwykle „dziękuję” i już wychodzimy. Rocky ma w przyszłym tygodniu egzaminy i uczy się bardzo intensywnie. Powinna się już położyć.

W.H. Drury nerwowo potarł nos.

- No, tak. Oczywiście. Chyba rzeczywiście... Dziękuję ci, moja droga, za poświęcenie mi dziś czasu. I powodzenia w...

Rocky najwyraźniej miała już tego wszystkiego dość. Bąknęła ciche „przepraszam” i ruszyła ku drzwom.

- Aleś wałnął, braciszku - mruknął Chase. - Mogłeś przecież zrzucić wszystko na głuchotę starego, ale ty musiałeś zrobić przedstawienie.

Obrzuciwszy brata groźnym spojrzeniem, Worth podążył za Rocky. Dogał ją jednak dopiero na dworze.

Stała na chodniku, kuląc się z zimna.

W słabym świetle latarni jej oczy były ogromne i bardzo, bardzo smutne. Patrzył na nią i czuł... wzruszenie. Ale jak można zapomnieć o zasadach całych trzydziestu sześciu lat? Z czego zrezygnować? Co zatrzymać?

- Dobrze się czujesz?

- Zadaj mi to pytanie za dwadzieścia lat. Może wtedy będę mogła sobie pozwolić na filozofowanie.

- Jeśli to będzie jakimś pocieszeniem...

- Nie będzie, więc się nie trudź.

- Rocky.

Nawet nie podejrzewał, że może być tak zrozpaczony. Podszedł do niej bliżej i dotknął jej włosów.

- Przestań. Nie mogę oddychać, kiedy jesteś tak blisko - szepnęła, odwracając się.

- Nie walcz ze mną.

- Nie walczę z tobą, lecz z sobą.

- Dlaczego?

Rocky zaśmiała się - krótko i ostro.

- Żeby przeżyć.

- Nie walcz.

- Nie! - krzyknęła i pobiegła do auta.

Worth poszedł za nią, zajął miejsce za kierownicą i ruszył z piskiem opon. Pędził jak do pożaru, kiedy nagle w światłach reflektorów pojawił mu się mały, zabłocony pies.

Przed oczami na moment przemknął mu podobny obraz

z przeszłości. Z przekleństwem na ustach mocno nacisnął hamulce.

- O, Boże, Worth - krzyknęła Rocky. - Uważaj!

Spodziewał się uderzenia, które jednak nie nastąpiło. Albo tym razem miał lepszy refleks, albo nad kundlem czuwał jakiś anioł stróż. Zwierzę zniknęło w ciemnościach, a Worth był w stanie tylko wjechać w najbliższą alejkę i zgasić silnik.

- Co ty robisz? - spytała drżącym głosem Rocky. - To prywatny teren. Właściciele pomyślą, że chcemy się włamać, i wezwą policję.

- W domu nie ma nikogo. Znam właścicieli. Wyjechali na Bermudy. Musimy tylko uważać, żeby nie uruchomić kamer ani alarmu.

Uspokojona Rocky usiadła wygodniej w fotelu. Przez kilka sekund w aucie panowała cisza.

- Słyszałam jakiś niepokojący odgłos - odezwała się w końcu Rocky. - Uderzyłeś się w głowę?

- Nie, w łokieć. O drzwi. To nic takiego. - Wiedział, że odpowiada jak idiota, ale nie był w stanie prowadzić rozmowy. - A ty?

- O nic się nie uderzyłam, jeśli o to ci chodzi.

- Ale nie czujesz się dobrze.

- Czy nie moglibyśmy po prostu wrócić do domu?

- Czemu? - Strach nie pozwolił mu na posłuszeństwo.

- Żebyś mogła wbiec do swego pokoju i odgrodzić się ode mnie zamkniętymi na klucz drzwiami?

- A czego się spodziewasz?! - krzyknęła ze złością. - Po tym, co mi powiedziałeś?

- Wolalabyś, żebym skłamał? - spytał chłodno Worth.

- Wolalabym nigdy cię nie spotkać!

Worth w końcu poddał się kłębiącym się w nim uczuciom.

Odpiął najpierw swój pas, potem jej i chwycił Rocky za ramiona.

Z początku chciał tylko nią potrząsnąć, przemówić jej do rozumu, sprawić, by comeła te słowa. Nie obchodziło go, że na nie zasłużył. Chciał je wymazać. Jednak kiedy jej dotknął, uwolnił w sobie wszystkie tak długo tłumione wspomnienia i uczucia.

Nie miał się gdzie ukryć, musiał się im poddać.

- A niech cię diabli - jęknął, biorąc Rocky w objęcia. - A niech cię.

Z początku nie mógł znaleźć jej ust, ale kiedy wreszcie je napotkał, miał wrażenie, jakby zamknął się jakiś elektryczny obwód. Zadrżał i zeszywniał.

- Worth, przecież nie tego chcesz - szepnęła Rocky, próbując się wyswobodzić.

- Ależ tak. To jest to, czego chcemy oboje, tylko jesteśmy zbyt uparci, by się do tego przyznać. Pocałuj mnie, Rocky

- Nie mogę pozwolić, żebyś...

- Pocałuj mnie.

Wcisnął ją w fotel i miażdżył ustami jej wargi. Nie był delikatny, ale i ona nie była, próbując uniknąć jego ataku. Przez moment walczyli ze sobą, aż w końcu Worth zamknął jej nogi w pułapce swoich ud, a ręce uwięził między ich falującymi piersiami.

- Nie walcz ze mną - jęknął, nie przestając jej całować.

- Nie, Rocky, nie. - Kiedy zauważył, że go słucha, pocałował ją w policzek. - Pomóż mi.

W nikłym świetle padającym z deski rozdzielczej czekał, by otworzyła oczy. Kiedy w końcu spotkały się ich spojrzenia, oboje wiedzieli, że nie mają szans. Z ust Rocky wyrwał się cichy jęk. Chwyliła go za klapy marynarki i przyciągnęła do siebie. Worth przywarł wargami do jej ust.

Gdzieś w podświadomości wiedział, iż źle robi, że wykorzystuje chwilę słabości. Ale czyjej?

- Tak dawno już nie byliśmy razem - szepnął. - Chcę na ciebie patrzeć, dotykać cię.

- Worth, to jest...

- Tak, wiem. - Miała rację, to było szaleństwo. - Ale musimy. Tutaj. Teraz.

Zsunął suknię z jej ramion, a potem gorącymi pocałunkami chronił ją przed wilgotnym chłodem wieczoru.

Rocky odchyliła głowę i poddała się wszystkiemu, co mógł jej dać i wziąć.

W końcu posadził ją na sobie i wszedł w nią tak głęboko, jak tylko była w stanie go przyjąć.

Była taka gorąca, wilgotna, ciasna. Jęknął i przyciągnął ją mocno do siebie.

Gotów był przysiąc, że czuje każdą komórkę swojego i jej ciała. Przytuliwszy twarz do jej piersi, wprowadził ich oboje w jeden rytm.

Krótkie paznokcie Rocky wpijały się w jego szyję i plecy, bicie jej serca, które czuł pod wargami, mówiło mu więcej niż słowa. Jemu jednak słowa były potrzebne - szeptał jej do ucha tajemnicze, cudowne, dziwne rzeczy, których nigdy nie mówił nikomu.

Ale też i ona nie była po prostu kimkolwiek. Była kobietą, która zburzyła wszystkie jego obronne bariery i zanurzyła się w niego głębiej, niż on był teraz zanurzony w niej. Choćby nie wiem jak się starał o Rocky nie myśleć, jej imię słychać było w każdym uderzeniu jego serca.

Siedzieli później w kokonie ciemności, przytuleni, ale pogrążeni każde w swoich myślach.

Rocky wiedziała, że głupio zrobiła, poddając się nastrojowi chwili. Była pewna, że jej późniejsze cierpienie stanie się jeszcze większe.

- Nie będę cię przepraszał - rzekł w końcu cicho Worth.

- Nie musisz. Najbardziej w tobie cenię to, że nigdy mnie nie oszukujesz.

- Nie mów tak - szepnął. - I tak jest mi ciężko.

Dlaczego? Ciekawe.

- Czemu tak się zachowujesz? Dlaczego tak bardzo walczysz z tym, co jest między nami?

- Bo sama sobie nie wierzę.

Próbowała wysunąć się z jego objęć, ale jej nie pozwolił.

- Zaczekaj. Posłuchaj mnie przez chwilę.

Rocky zamknęła oczy, żalując, że w ogóle poruszyła ten temat. Czego się spodziewała?

- Boję się uwierzyć w to, co jest między nami, Rocky. To, co dzieje się z nami, kiedy się kochamy, jest czymś więcej niż chwilowym zauroczeniem.

- Boisz się, że będziesz cierpiał.

- Nie będę cierpiał - odparł z przekonaniem. Potem przez jego twarz przemknął spazm bólu. - Nie mogę jednak pozwolić ci odejść. Jesteś moja. Rozumiesz? Moja.

Kiedy przyciągnął ją mocno do siebie, zadrżała. Dlaczego? Ze strachu czy namiętności? Czy po tym, co jej powiedział, nie ma już nadziei? A kto nie boi się cierpienia? Z czasem, dzięki cierpliwości i... miłości, nawet strach można przetrwać.

Czy się na to odważy? Czy będzie w stanie zostać i udowodnić Worthowi swą miłość, aż i on zdecyduje się zdjąć z siebie ochronny pancerz?

- Wracajmy do domu - szepnął Worth, muskając jej szyję
- Znowu cię pragnę. Wracajmy do domu, by znów się kochać.
- Tak - odparła drżącym głosem Rocky.

Gdzieś w głębi duszy słyszała cichutkie ostrzeżenie. Była zbyt oszołomiona miłością, by chcieć słuchać.

scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rocky oczywiście spodziewała się, że czas egzaminów nie będzie dla niej łatwy, a niepokoje związane z jej stosunkami z Worthem utrudniły jeszcze sytuację. Jakoś jednak sobie ze wszystkim poradziła.

Teraz trzeba było tylko czekać na oceny. Każdego dnia, kiedy ogłaszano kolejne wyniki, wstawiała wyjątkowo wcześniej, by jako jedna z pierwszych znaleźć się przed tablicą. Gdyby wiadomości były złe, wołała mieć jak najmniej świadków swego upokorzenia.

Piątkę, którą dostała z angielskiego, przyjęła bardziej z ulgą niż ze zdziwieniem. Cieszyła się, że nie zawiodła Wortha, który przecież włożył tyle pracy w jej edukację.

Później jednak wszystko się pogmatwało.

W dniu kiedy miały być wywieszzone ostatnie oceny, musiała najpierw napić się kawy w studenckiej stołówce. Nerwy sprawiły, że bardzo źle spała i teraz ledwo żyła.

Z papierowym kubkiem w ręce ruszyła ku czerwonemu ceglanemu budynkowi, gdzie miał zdecydować się jej los. Z każdym krokiem jej myśli stawały się coraz bardziej smutne.

Niezależnie od tego, co dostanie z matematyki, z której akurat była najslabsza, mogła być z siebie dumna. Badger na pewno by tak uważał. Od miesiący tak bardzo za nim nie

tęskniła, jak tego dnia. Może dlatego, że zbliżały się jego urodziny; była to chwila, którą powinno się dzielić z rodziną.

Worth ostatnio był bardzo miły. Co wieczór masował jej dla odprężenia kark i plecy, a potem, w łóżku, trzymał ją po prostu w ramionach, nie usiłując nawet kochać się z nią.

O, Boże, Worth... Co powinna zrobić? Od dnia pamiętnego bankietu była strasznie zagubiona.

Widziała, że Worth stara się być inny, ale miała wrażenie, że zachowuje się tak dlatego, ponieważ myśli, że ona tego chce, a nie z własnej potrzeby. Różnica była bardzo istotna.

Człowiek wykształcony powinien być mądrzejszy, pomyślała, wchodząc do budynku wydziału matematyki. Dlaczego ona się taka nie czuje?

Ogłoszenie wyników opóźniało się. Rocky dołączyła do grupy czekających studentów, zabijających czas grą w pokera.

W końcu, tuż przed dwunastą, wykładowca matematyki wyszedł ze swego gabinetu i chwilę później Rocky patrzyła na swój ostatni stopień.

Udało się! Średnia jej ocen wynosiła cztery.

Chciała natychmiast podzielić się swą radością z Worthem. Gdyby nie on... Tak, jak tylko go zobaczy, powie mu wszystko, co leży jej na sercu.

Miała dość pieniędzy, by pojechać taksówką, a Worth na pewno nie będzie zły, jeśli zjawi się w jego biurze. Miała na sobie granatowy, zapinany sweter, dobrze skrojone dżinsy - jedyne, na których kupno udało jej się go namówić - i elegancką bluzkę. Wygląda porządnie i wpadnie przecież tylko na chwilę.

Siedziba firmy Drurych mieściła się w samym centrum miasta, w wysokim, nowoczesnym budynku. Strażnik wskazał jej odpowiednią windę, a kiedy wjechała na piętro, rece-

pcjonistka skierowała ją do właściwych drzwi. Tam dopiero Rocky natknęła się na przeszkodę w postaci osobistej sekretarki Wortha.

Dyskretnie umalowana i elegancko uczesana siwa kobieta stwierdziła wyraźnie, że pan Drury jest na zebraniu i nie wolno mu przeszkadzać.

- Mogę poczekać - odparła z uśmiechem Rocky.

- Pani mnie chyba nie zrozumiała. Pan Drury nie przyjmuje nikogo, kto nie był umówiony.

- Mnie przyjmie.

Kobieta spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Jesteśmy... przyjaciółmi - dodała Rocky z nadzieją, że będzie to wystarczające wyjaśnienie.

- Może ja mogę pani jakoś pomóc?

Jeszcze kilka miesięcy temu Rocky odpowiedziałaby jej zupełnie inaczej, teraz jednak tylko się uśmiechnęła.

- Owszem. Proszę powiedzieć panu Drury'emu, że przyszła Rocky.

- Rocky!

Słyszając znajomy głos Rocky z ulgą odwróciła się ku drzwiom.

- Chase! Jak to dobrze, że cię widzę.

- Cieszę się. - Chase podszedł do niej i pocałował ją w policzek. - Jakież problemy?

- Tylko tyle, że nie mogę zobaczyć się z Worthem. Ławiej by mi pewnie było dostać się do prezydenta - dodała ze śmiechem.

- Jesteś cudowna, wiesz? Chyba jedyna żywa istota w tym muzeum. Chodź - rzekł, obejmując ją ramieniem. - Dotrzymam ci towarzystwa, dopóki Worth nie skończy swego Kazania na Górze.

- Panie Drury - zaczęła ostrzegawczo sekretarka Wortha.
-Chyba...

- To już mój problem, Vivecco.

Chase wprowadził Rocky do gabinetu Wortha i zamknął za nimi drzwi.

- No, a teraz powiedz mi, co cię tu sprowadza?

Rocky nie odpowiedziała od razu. Chciała najpierw obejrzeć miejsce, gdzie Worth spędza tyle czasu. Po chwili wiedziała już, że gdyby poznała go tu, nigdy nie zostałaby jego kochanką.

Był to piękny pokój. Trzy ściany obite szarą materia, czwarta ze szkła. Pośrodku czarna kanapa i dwa czerwone fotele.

Na ścianach wisiało więcej dyplomów i nagród niż obrazów. Książek było jeszcze więcej, ale ani jednej powieści. Był to pokój taktyka, planisty, człowieka, który tworzy i kontroluje świat wokół siebie. Człowieka jeszcze potężniejszego niż ten Worth, którego ona знаła.

Rocky była przerażona.

- Nie bierz tego zbyt poważnie, mała - odezwał się Chase gdzieś za jej plecami. - To wszystko na pokaz. Magicy tworzą iluzję i w pewien sposób Worth jest do nich podobny. To, co tu widzisz, w gruncie rzeczy nic o nim nie mówi.

- Czyżby?

Chase westchnął głęboko i obrócił ją ku sobie.

- Może kiedyś tak było. Ale przy tobie Worth stał się kimś innym.

Rocky bardzo chciała w to wierzyć. Nagle spojrzała na jego biurko i rzuciła się ku niemu jak przyciągana magnesem. W lewym rogu ciemnego dębowego biurka stała kryształowa figurka. Postać nagiej kobiety, ledwie przysłoniętej jakąś

zwiewną materią. Młodej kobiety z włosami do pasa, unoszącej szyję, jak...

- Wielki Boże! Przecież to ja!
- Więc i ty dostrzegasz podobieństwo.
- Przecież to widać gołym okiem. To o tej rzeźbie mówiłeś wtedy na wystawie, prawda?

Rocky nie zapomniała tamtej uwagi, szukała nawet tej figurki w domu Wortha, ale bez powodzenia. W końcu dała sobie spokój, bo tyle przecież się działo.

Czy to dlatego Worth wziął ją do swego domu? Czy od początku chciał zrobić z niej swą kochankę? A ona cały czas przekonywała samą siebie, iż robi to tylko z poczucia winy, bo omal jej nie zabił.

„Chcę móc zamykać drzwi mej sypialni na klucz”.

„Jeśli ty tego nie zrobisz, ja je zamknę”.

„Jesteś moja, Rocky. Moja”.

Na jej twarzy musiało malować się coś przerażającego, bo Chase szybko odciągnął ją od biurka.

- Przestań o tym myśleć! Cholera, powinienem ją schować, zanim cię tu wprowadziłem.
- Schować? - Rocky uśmiechnęła się gorzko. - Jak on ją nazywa, Chase?
- Przestań, Rocky. Daj sobie spokój.
- Powiedz mi.
- Galatea.
- Ładnie. Czy to jakaś bogini?
- W mitologii greckiej istnieje kilka wersji tej historii, ale najpopularniejsza mówi, że to była rzeźba, która ożyła, gdy objął ją jej właściciel, Pigmalion.
- Rozumiem - powiedziała głucho Rocky.
- Przestań. Jakiegokolwiek były z początku jego motywy,

jestem pewien, że to, co Worth czuje do ciebie teraz, nie jest zwykłym pożądaniem. Hej, w końcu mi nie powiedziałaś, co cię tutaj sprowadziło? - spytał lekkim już tonem.

- To miała być... niespodzianka.

Ale to było wtedy, kiedy wierzyła jeszcze, że Worth jest tym, który zasługuje, by z nim pierwszym podzieliła się radosną nowiną. Kiedy wierzyła, że on tylko boi się, że serce może zwyciężyć nad jego rozumem. Kiedy wierzyła w bajki i cuda.

Ależ się okazała idiotką.

Rocky zamknęła oczy.

- To właściwie nic takiego. Chciałam mu tylko powiedzieć, iż zdałam swój ostatni egzamin. Że mi się udało, że mam średnią czte...

- Ej, mała. - Chase wziął ją w ramiona i oparł policzek o jej głowę. - To wspaniała wiadomość i jestem z ciebie bardzo dumny.

Jak dobrze było w jego ramionach, mając świadomość, że jego radość jest szczerą i nie trzeba za nią płacić. Nie był tak wysoki jak Worth ani tak umięśniony, a ona nie kochała go, jak kochała jego brata, ale przywarła mocno do niego, wdzięczna za jego pomoc.

Nie zauważyła nawet, kiedy otworzy się drzwi, usłyszała tylko jakieś głośy i poczuła, że Chase sztywnieje. Domyślając się, co zobaczy, wysunęła się z jego objęć i odwróciła ku stojącemu w drzwiach Worthowi.

Milczał, ale wyraz jego twarzy był aż nadto wymowny. W innej sytuacji byłaby na pewno przerażona, teraz jednak gorycz i złość były silniejsze.

- Rocky przyszła, żeby podzielić się z tobą wspaniałą nowiną - przerwał w końcu ciszę Chase.

- Naprawdę?

- Daj spokój, Chase - powiedziała Rocky. - To już nieważne.

- Akurat. - Chase, wyraźnie zły, spojrział na brata. - Udało jej się, stary. Zdała wszystko ze średnią cztery i przyszła prosto tutaj, by ci o tym powiedzieć. Niestety, widok tego skarbu na twoim biurku przyćmił trochę jej radość.

- Rozumiem, że wyciągnęłaś z tego jakieś wnioski - zauważył sucho Worth.

- Nie martw się. Nie podzielę się nimi z tobą. Powiem ci tylko, że zachowałeś się paskudnie, nie mówiąc mi od początku, że szukasz żywej wersji kobiety ze swoich marzeń!

- Wcale tak nie było i dobrze o tym wiesz.

- Nic nie wiem oprócz tego, że skłamałeś, kiedy mówiłeś, iż nie chcesz romansu, kiedy udawałeś, że pragniesz zachować między nami dystans, kiedy... - Czując, że głos zaczyna jej drżeć, zacisnęła mocno wargi i spojrzała na swoje buty. - Jak mogłeś tak manipulować moimi marzeniami i uczuciami, jakbym była jednym z twoich... twoich projektów!

Miała ochotę krzyknąć. Chciała, żeby powiedział jej, że się myli. Pragnęła, żeby wziął ją w ramiona i wyznał, że ją kocha. Że jej potrzebuje. Błagała go w myślach, by przysiągł, że znaczy dla niego więcej niż marzenia, które snuł, patrząc na ten piękny kawałek szkła.

Worth tylko zamknął oczy.

- Chase - rzekł ledwo słyszalnym głosem. - Czy mógłbyś zostawić nas samych?

- Nie, to ja wyjdę! - krzyknęła Rocky, ruszając ku drzwiom.

- Rocky, zaczekaj! - krzyknął Worth. - Zresztą, niech będzie, odwołam resztę spotkań i zaraz będę w do...

- Nie rób sobie kłopotu! Mnie tam nie zastaniesz!

- Widzę, że bardzo to przeżyłaś.

Tydzień później Rocky z podkulonymi nogami siedziała na podłodze poddasza, które Danielle Lanier nazywała swoim domem. Naprzeciwko niej, w odrapanym bujanym fotelu Danielle dziergała zawzięcie chyba najdłuższy szalik na świecie.

- Nie ja pierwsza - odparła Rocky, spoglądając w zamyśleniu na wściekle pomarańczową robótkę. - Czy zgorszyłam cię, wyznając, że byłam kochanką Wortha?

Druty znieruchomiały. Dani spojrzała na nią spokojnie swymi kociozielonymi oczami.

- Byłaś jego ukochaną. To duża różnica. A tak przy okazji, to nic nie jest w stanie mnie zgorszyć. Tak jak ty, nie mogę sobie na to pozwolić. Zbyt wiele w życiu widziałam. Jeśli pozwoliłaś, aby Worth zbliżył się do ciebie, to dlatego, że odkryłaś w nim coś takiego, dla czego warto było zaryzykować. Szkoda, że nie wyszło. I jestem wściekła, że ucierpiała na tym twoja godność.

Rocky była zaskoczona gwałtowną reakcją przyjaciółki. Dzieciaki ze schroniska nie bez powodu chyba nazywały ją świętą Dani.

- Jestem też zła, że nie przyszedł do mnie tej pierwszej nocy - mówiła dalej Dani, wracając do dziergania szalika.

Dwie pierwsze noce Rocky spędziła w schronisku, a kiedy Worthowi omal nie udało się jej wytropić, przez kilka kolejnych sypiała, gdzie popadło... Kiedy usłyszała o tym Dani, natychmiast ściągnęła ją do siebie.

- Zamieszkasz ze mną i wrócisz na uczelnię - powiedzia-

ła cicho, ale tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Musisz przecież chodzić na zajęcia.

- Najpierw powinnam znaleźć pracę.
- Masz już pracę. Jesteś teraz moją asystentką. Obserwuję cię od pewnego czasu i widzę, że znakomicie porozumiewasz się z ludźmi, szczególnie z naszymi dziećmi. Jesteś mi potrzebna, Rocky. Nie robię tego z grzeczności.

Gdyby nie jej złamane serce, Rocky przyjęłaby tę propozycję z radością.

Jej nowa szefowa nie była zgorzkniała, mimo że też nie miała łatwego życia. Rocky podejrzewała, że ukrywa jakąś tajemnicę.

- Nie ma żadnej tajemnicy - odparła Dani. - Wiara i upór nie pozwalają mi się poddać, nawet gdy sprawy wyglądają beznadziejnie. Wierz mi, bywałam w takich sytuacjach, że jedyna droga wyjścia prowadziła w górę.

Rocky nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie w przypadku Dani.

- Czy kiedykolwiek był w twoim życiu ktoś...?
- Szczególny?

Lekko zawstydzona swym wścibstwem Rocky skinęła głową.

- Połowa chłopaków ze schroniska się w tobie kocha.
- Połowa chłopaków ze schroniska nadal potrzebuje mamusi - odparła z suchym uśmiechem Dani. - Dobrze, niech ci będzie, szczerść za szczerść. Ten, który przyciągnie mój wzrok, będzie musiał być kimś naprawdę wyjątkowym, a obawiam się, że niewielu jest takich na tym świecie.

- A gdybym ci powiedziała, że jest ktoś, kto bardzo chce cię poznać? Taki dyskretny wielbiciel?

- Odparłabym, że odłożę teraz robótkę do pudła i uprażę

trochę kukurydzy. Potem pokażę ci moją kartotekę. Innymi słowy, jedno złamane serce w tym domu wystarczy.

Dani okazała się nadzwyczajną przyjaciółką Rocky. Pomogła znieść jakiś ból po utracie Wortha. Dała jej także siłę, by przyznać, że to rozumiała, iż poczuła się zraniona, dowiedziawszy się, że Worth przestał jej szukać.

Mijały miesiące i jej złość na niego przemieniła się w smutek. Jak mogła tęsknić za kimś, kto tak bardzo ją zranił? Odpowiedzi nie było.

Brakowało jej jego wyczucia w sprawach finansowych, kiedy w budynku, w którym mieszkała Dani, pojawił się pośrednik i namawiał ją na sprzedaż mieszkania. Brakowało jej jego wykładów, cierpliwości, mądrości.

Tęskniła też za seksem. Nocami śniła, że Worth przychodzi do niej, rozbiera ją i obsypuje jej ciało pocałunkami, jak robił to, kiedy wracając późno z jakiegoś spotkania, zastawał ją śpiącą nad książkami.

Wiedziała, że odchodząc od niego, straciła coś bardzo istotnego w życiu. Wdzięczna mu była za to, co dla niej zrobił, i nigdy nie zapominała o nim w swych modlitwach.

W odróżnieniu od Wortha, Chase nie zerwał z nią stosunków. Okazał się wspaiałym przyjacielem. Oferował jej pieniądze, które przyjęła tylko w formie dotacji dla agencji Dani. Zaproponował jej pokój w swoim mieszkaniu, za co dostał całusa w policzek. Gotów był także porozmawiać z Worthem, ale tę propozycję Rocky zdecydowanie odrzuciła.

Zadowolił się więc prawem odwiedzania jej od czasu do czasu, sędziowaniem meczów rozgrywanych przez mieszkańców schroniska i udzielaniem rad.

Rocky oczywiście nie była aż tak ślepa, by nie zauważyć,

że zawsze szukał wzrokiem Dani, która niestety całkowicie go ignorowała.

- Czy uważasz, że tracę czas? - spytał pewnego wrześniowego popołudnia Chase, odwożąc Rocky do domu po zajęciach. - Wygląda na to, że wcale jej nie przeszkadza, że cię odwiedzam.

- Dani wie, że jesteś moim przyjacielem i że nam pomagasz.

- Ale kiedy ją zaprosiłem na kolację, tylko się roześmiała.

- Dani nie wyśmiewa się z ludzi. Bardzo szanuje uczucia innych.

- Ty coś kręcisz, Rocky. Mów szczerze.

Rocky z trudem się na to zdobyła. Nie chciała skrzywdzić przyjaciela.

- Masz kiepską reputację, Chase. Dani czyta gazety, nawet rubryki towarzyskie. Musi, bo dzięki nim może znaleźć sponsorów dla swego przedsięwzięcia. Staralam się ją przekonać, że próbujesz się zmienić.

- Próbuję? - Chase aż poczerwieniał. - Po raz pierwszy w życiu spotkałem kogoś, o kim myślę poważnie, kogoś, kogo chcę przekonać o mojej szczerości, a ty uważasz, że tylko próbuję się zmienić? Ciekawe, co ona na to?

- Dani jest ostrożna, Chase. Takie kobiety niełatwo nawiązują bliższe znajomości - powiedziała z zadumą Rocky.

Chase nachylił się i położył rękę na jej ramieniu.

- Przepraszam cię, mała. Jeśli to będzie dla ciebie jakimś pocieszeniem, to wiedz, że on też nie ma nikogo.

- Czy... czy czasem o mnie wspomina?

- Nic nie mówi. Ale wygląda okropnie. Ojciec dopiero awanturą zmusza go, by robił cokolwiek dla firmy poza godzinami pracy. Całymi wieczorami siedzi w domu i cierpi.

- W ten sposób nigdy nie znajdzie swej Galatei.
 - Może uważa, że znalazł kogoś od niej wspanialszego.
- Rocky z trudem zmusiła się do zachowania spokoju.
- Przecież mówiłeś, że z nikim się nie spotyka.
 - Owszem.
 - To o co ci chodzi?
 - Domyśl się sama.

Worth uznał, że ponura, deszczowa jesień znakomicie pasuje do jego nastroju. W listopadzie był już tak załamany, że wykręcił się grypą od świątecznego obiadu w domu rodzinnym. Nazajutrz ojciec, który wiedział, że Worth od pięciu lat nie miał nawet kataru, powitał go w biurze awanturą.

- To się musi skończyć, mój drogi!
- Czy są jakieś zastrzeżenia do mojej pracy? - spytał Worth, wyglądając przez okno.
- Dobrze wiesz, że nie, ale jeśli tylko do tego dojdzie, rada nadzorcza...
- Może zrobić, co zechce. Na razie niech pilnują swoich spraw. Ty także.
- Jak możesz tak mówić do ojca!

Worth studiował swe odbicie w szybie okiennej.

- Coś się tu zmieniło - rzekł nagle ojciec, spoglądając na biurko syna.

Kolejny nieprzyjemny temat.

- Rzeźba zniknęła.
- O, właśnie. Co się z nią stało?
- Zabrałem ją do domu.
- Czy ma ci zastąpić tę dziewczynę? Nie, nie, nie chcę się wtrącać. Po prostu się o ciebie martwię, wierz mi lub nie.
- Ty czegoś chcesz.

- Owszem. Prezesa mojej firmy w dobrej formie. - W.H. Drury wsunął rękę w kieszenie i stanął przed synem. - I prosić cię o wybaczenie.

- Myślałem, że już to zrobiłeś.

- Nie... w sprawie tej dziewczyny. Za to, jak ją traktowałem.

Worth nie chciał rozmawiać o Rocky. Było to zbyt bolesne. Cierpiał każdego dnia, wiedząc, że nie zobaczy jej cudownej twarzy, nie usłyszy cichego śmiechu, nie dotknie jej ponętne-go ciała. Czy musi jeszcze o niej rozmawiać?

- Chyba nie byłem wobec niej w porządku - mówił dalej ojciec. - Próbowałem przekonać samego siebie, że to sprawa wieku, pochodzenia, że w ogóle nie pasuje do naszej rodziny.

- My nie mamy rodziny, ojczyzna, posiadamy jedynie firmę.

- Przynajmniej nasze kłótnie nie są tak gwałtowne, jak w tradycyjnych rodzinach. Ale pozwól mi skończyć. Chcę, żebyś wiedział, iż masz moje błogosławieństwo, gdybyś się zdecydował...

- Ona nie chce, żebym jej szukał.

- O czym ty mówisz? Chase widuje się z nią przez cały czas.

A więc i on o tym wie. Najwyraźniej wszyscy są o tym dokładnie poinformowani.

- Nie chce, żebym ją odnalazł.

- A ty się z tym pogodziłeś?

- Tak. Jeśli taka jest jej wola. To jedyne, co mogę jej dać. Wolność, niezależność. Zasłużyła na to.

- Chyba nigdy nie zrozumiem, na czym polega miłość - mruknął W.H. i ruszył ku drzwiom.

- A ja zrozumiałem za późno - rzekł w zamyśleniu Worth.

Na kolejną awanturę nie trzeba było długo czekać. Dotyczyła bożonarodzeniowego przyjęcia w firmie. Worth najpierw namówił ojca, by zorganizować je dwa tygodnie wcześniej niż zwykle, a później sam wymówił się od uczestnictwa.

- Co ty sobie wyobrażasz? - krzyczał W.H. Drury. - Zrobiłem to dla ciebie i musisz przyjść.

Worth przyglądał się człowiekowi, który go począł, ale w dniu jego narodzin załatwiał interesy w Paryżu, a później, w kolejnych ważnych momentach jego życia, podróżował od Londynu po Berlin, Nowy Jork i odwiedzał każde inne każde miasto na świecie, gdzie ściągnął go zapach pieniędzy. Worth był w stanie mu to wybaczyć, ale zapomnieć nie potrafił.

- Podaj mi choć jeden powód - odparł.

- Przecież to ty co roku dziękujesz pracownikom za całoroczną pracę, a ja wręczam im premię.

- Więc tym razem ty podziękuj.

- Chcę, żebyś ty to zrobił.

- Poproś Chase'a.

- Chase nie potrafi.

- Ależ potrafi. Odziedziczył po tobie wielki talent krasomówczy.

- Przestań. Chase zresztą trochę się spóźni. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

- Niekoniecznie.

- Pamiętaj, że to ty mnie do tego zmusiłeś. Chase się spóźni, bo przyprowadzi ze sobą gościa. Szczególnego gościa. Przysiągłem dotrzymać tajemnicy, a teraz złamałem słowo. A niech cię diabli, Worth. Jestem za stary na te idiotyzmy. Musisz przyjść.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Czy Chase już jest?
- Baw się i nie myśl o tym, synu.
- Wydawało mi się, że mówiłeś...
- Przyjdzie na pewno. Wiesz, jaki jest ruch na ulicach, szczególnie o tej porze.

Worth oczywiście wiedział, ale i tak nie mógł przestać myśleć o osobie, którą według słów ojca miał przyprowadzić Chase. Pociągnął łyk alkoholu, by uspokoić nerwy.

Czyżby czekało go rozczarowanie? Chase nic nie mówił, że Rocky jest teraz jego dziewczyną, a i Worth nie bardzo mógł sobie to wyobrazić. Rocky na pewno nie afiszowałaby się przed nim ze swym nowym ukochanym.

A jeśli nie przyjdzie? Przez ostatnie kilka dni wyobrażał sobie, co jej powie, jeśli tylko pozwoli mu się na tyle do siebie zbliżyć, by mógł w ogóle cokolwiek powiedzieć. Jak przeżyje ten wieczór, jeśli okaże się, że Chase po prostu sobie z niego zażartował?

Nie, Chase był ostatnio wobec niego bardzo miły. Zapomniał nawet o dawnym sarkazmie. Czyżby udzielił mu się świąteczny nastrój?

Wkrótce, dokładnie za dwa tygodnie, będzie Boże Narodzenie. Minie dokładnie rok od dnia, kiedy poznał Rocky. W ciągu tych kilku miesięcy, które upłynęły od ich rozstania, oboje obchodzili swoje urodziny - osobno. Dla Rocky ozna-

czały one „pełnoletność” - skończyła dwadzieścia jeden lat, a on nie mógł uczcić tego razem z nią. Chase zrobił to za niego, przynajmniej ojciec tak twierdził.

- Może chciałbyś wygłosić swą mowę, zanim zjawi się tu twój brat, w razie gdyby coś było nie tak? - zaproponował mu ojciec.

Nie tak, czyli jak? omal nie zapytał Worth. Nie miał zielonego pojęcia, wiedział tylko, że zwariuje, jeśli przynajmniej nie zobaczy tych niesamowitych oczu.

- Zaczekajmy jeszcze parę minut - odparł, rozglądając się po sali. - Ludzie dopiero zaczęli jeść i...

Nie skończył, bo nagle otworzyły się drzwi i ponad głowami gości dostrzegł blond czuprynę Chase'a. Z bijącym sercem wyciągnął szyję, by zobaczyć, kto mu towarzyszy. Dłonie mu się spociły. Boże, czy kiedykolwiek w życiu tak cierpiał?

Owszem. W dniu kiedy Rocky go opuściła.

Thum lekko się przeredził i Worth zobaczył... jakąś rudowłosą dziewczynę.

Rozczarowanie, ulga, ciekawość zlały się w jedno.

Kim ona jest?

Potem pojawiła się złość. Gdzie jest Rocky? Jak Chase może ją tak traktować?

Worth zmusił się, by poczekać, aż brat sam do niego podejdzie. Całą siłą woli walczył, by nie zgnieść trzymanego w rękę plastikowego kubka. Na ojca, jak się okazało, też nie mógł liczyć.

- Ruda... Jeszcze nigdy nie widziałem z nią Chase'a. Czyżby to było coś poważnego?

Nagle przed nimi stanął Chase wraz ze swą towarzyszką.

- Ojcze, Worth... chciałbym wam przedstawić Danielle Lanier. Dla przyjaciół, do których, mam nadzieję, mogę się

zaliczać, Dani - dodał z głębokim ukłonem w stronę swego gościa. - Dani, to mój ojciec i...

- Jak mogłeś, Chase? - przerwał mu ostro Worth.
- O co ci chodzi, braciszku?

Worth spjrzał na stojącą obok brata dziewczynę. Miała niesamowite oczy. Widzieli się po raz pierwszy, a jednak przyglądała mu się z wyraźnym zaciekawieniem. Był w jej spojrzeniu także jakiś niewytłumaczalny chłód. Stanowił dziwny kontrast z twarzą, którą początkowo określił jako anielską.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lanier - mruknął. - Jak mogłeś to zrobić Rocky, wiedząc, co do ciebie czuje? - warknął do brata.

Chase tylko przez moment był zaskoczony. Potem objął w talię swą towarzyszkę i spojrzał z rozbawieniem na Wortha.

- No, ty akurat dobrze się na tym znasz. Ja tylko kontynuuję rodzinną tradycję.

Worth ledwo powstrzymał się, by pięścią nie zetrzeć uśmiechu z twarzy Chase'a. Skinął zamiast tego głową i wycofał się do swego gabinetu.

Zamknął za sobą drzwi na klucz i nie zapalając nawet światła, zamaszystymi krokami spacerował po pokoju. Walnął nawet pięścią w ścianę, ale to nie ukoilo jego nerwów.

Rocky... Och, Rocky.

Stał przy oknie i patrząc na rozświetlone miasto, przypomniał sobie inne Boże Narodzenie. Moment, kiedy przy pełni księżyca los sprezentował mu dar, którego nie był w stanie docenić.

Rocky. Pomyśleć, że skrzywdzi ją kolejny Drury. Nie zasłużyła na to. Chciał pójść do niej, pocieszyć. Wiedział

jednak, że on akurat jest ostatnią osobą, jaką chciałaby zobaczyć.

Zabrakło mu powietrza, czuł, że się dusi. Chwycił płaszcz i wybiegł bocznym wyjściem. Ojciec będzie wściekły, ale dla Wortha nie miało to najmniejszego znaczenia.

Jak ścigane zwierzę zbiegł do garażu. Kiedy znalazł się na dole, miał wrażenie, że postarzał się o dziesięć lat.

Jechał przez rozświetlone ulice, pełne roześmianych ludzi i muzyki.

Nie mógł jednak uciec od swych myśli.

Rocky na pewno spodobałby się ten ruch, te kolory i ta euforia związana z nadchodzącymi świętami. Na pewno namówiłaby go na wspólne oglądanie wystaw i szukanie prezentów. Potem on zaproponowałby kawę w jakiejś przytulnej kawiarni.

O Jezu, co się z nim dzieje!

Mijając alejkę, z której wynurzyła się tamtej pamiętnej nocy Rocky, zapragnął przeżyć to wszystko jeszcze raz.

- Chyba jesteś chory - mruknął sam do siebie z niesmakiem.

Może, ale wiedział też, że tym razem zrobiłby wszystko inaczej.

Najwyraźniej nie było mu to pisane. Pięć minut później był już w domu, bez żadnych przygód.

O dziwo, w drzwiach nie powitał go McGuire.

Czyżby dał mu wolne? Wyrzucił go? A może McGuire miał dość jego humorów i sam go opuścił?

Worth wszedł do środka i zawołał służącego.

Nikt mu nie odpowiedział. W holu paliła się tylko jedna lampa.

- McGuire! - krzyknął jeszcze raz, niecierpliwym gestem

zdejmując płaszcz. Rzucił go na balustradę schodów. Dobrze, jeśli lokaj sam się nie wyniósł, ma teraz wystarczający powód, by go wyrzucić.

Z głębokim westchnieniem wszedł do swego gabinetu i ruszył prosto do baru. Miał nadzieję, że ten wstrętny typ przygotował przynajmniej lód.

Lód był na miejscu, więc Worth błyskawicznie nalał sobie drinka. Poruszał szklanką i patrzył, jak lodowe kulki pływają w bursztynowym płynie. Tak zawsze robiła Rocky, pijąc mrożoną herbatę. Dawniej go to denerwowało, bo najczęściej robiła to wtedy, kiedy on akurat próbował się skupić.

Jedynie nikle światło księżycy, przedzierające się przez zasłony, oświetlało pokój. Rzuciło tajemniczy niebieskobiały poblask, który tak kiedyś lubił, bo nadawał skórze Rocky kolor alabastru...

Spojrzał nagle na biurko i zamarł.

Galatea zniknęła!

Przyniósł ją do domu, kiedy postanowił usunąć ją z biura. Jej obecność nie sprawiała mu już takiej przyjemności jak kiedyś, a że przy tym biurku rzadko teraz pracował, uznał je za odpowiednie miejsce do postawienia figurki. Ale żeby tak tajemniczo zniknęła...

- Szukasz czegoś?

Wynurzyła się z ciemności i zamknęła za sobą drzwi.

W białej sukni bez ramiączek, leciutkiej niczym mgielka, sunęła ku niemu jak zjawa. W porównaniu z nią Galatea, którą trzymała w ręku, wyglądała jakoś pospolicie.

W ustach mu zaschło, w uszach huczało. Był pewien, że śni, że zaraz się obudzi i zjawa zniknie. Zamiast tego usłyszał głośny stukot lodu w trzymanej w ręku szklance.

A więc to nie sen. Odstawił gwałtownym ruchem szklankę

na biurko, rozlewając większość jej zawartości na blat. Wcale się tym nie przejął. Nie mógł oderwać oczu od zjawy.

- Pytałam - powtórzyła, podchodząc bliżej - czy czegoś szukasz?

- Szukałem - wyjąkał.

- Tego? - spytała i podała mu Galateę.

Przyjął z jej rąk rzeźbę i odstawił na biurko, ale nie oderwał oczu od postaci, która mu ją wręczyła.

- Nie - odparł już nieco pewniejszym głosem. - Czegoś... kogoś bardziej wyjątkowego. I wspanialszego. Kogoś, kto wniósł w moje życie światło i śmiech. Nadał mu sens. Kobiety, która odchodząc, cały ten świat zrujnowała.

- Dlaczego odeszła?

- Bo ją niszczyłem, wolno i metodycznie, wymazując wszystko, co było w niej wyjątkowe i prawdziwe. Myślałem, że robię jej przysługę, wydobywając ją z rynsztoka i ofiarując jej utopię.

- Może miałeś rację.

- Nie. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że każdy z nas nosi w sobie swoją własną utopię. Tego nie można nikomu kupić czy podarować. Zafascynowało mnie to, co nazywała swoim światem, swoimi marzeniami. Opętała mnie, zanim zorientowałem się, co się ze mną dzieje. Dzieło sztuki może człowieka zachwycić, ale to zupełnie co innego, kiedy centrum twego istnienia staje się inny człowiek. Szczególnie ktoś tak młody i niedoświadczony.

- Walczyłeś z nią.

- Walczyłem ze sobą. Przerazała mnie, przy niej zapragnąłem rzeczy, którym nauczyłem się nie ufać. Przekonywałem sam siebie, że kiedyś na pewno mnie zawiedzie, bo przecież zawsze do tej pory tak było.

- I zawiodła cię.

Słyszac smutek w jej głosie, Worth zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie! Zrobiłaś jedyną rzecz, jaką mogłaś zrobić, by oca-
leć. Ja nadal byłem sztywny i zimny, niezdolny uwierzyć, że
mogę kogoś lub czegoś potrzebować. To cię odpychało.

- Powiedziałaś: potrzebować? - szepnęła, a na jej rękach
zabłyły łzy.

Worth wiedział, jak ważne jest dla niej to słowo.

- Tak, potrzebować. Twojej energii, słodyczy i odwagi.
Rocky... stałaś się taka silna i tyle osiągnęłaś.

Z wahaniem, jakby bał się, że zjawa zniknie sprzed jego
oczu, położył ręce na jej ramionach.

- Teraz ja potrzebuję nauczyciela. Muszę mieć kogoś, kto
nauczy mnie brać ludzi takimi, jacy są, a nie jakimi ich sobie
wymyśliłem.

Worth na moment zaniknął oczy.

- Czy myślisz, że już na to za późno?

- Zależy, co chcesz osiągnąć.

- Tylko jedno. - Ciepły blask jej oczu wyraźnie dodał mu
odwagi. Postanowił otworzyć przed nią swe serce. - Kochać
cię tym wszystkim, co jest we mnie. Spędzić resztę życia,
udowadniając ci, jak cię uwielbiam. Rocky... Och, Rocky
- jęknął i przyciągnął ją do siebie, bo musiał się przekonać,
że naprawdę jest obok niego.

Ich pierwszy pocałunek był cudownym powitaniem, potem
szybko przeistoczył się w namiętną rozmowę. W ten sposób
przekazywali sobie wzajemną radość i miłość. Potem były
ciche wyznania i po prostu bliskość dwóch tulących się do
siebie postaci.

- O Boże, ależ za tobą tęskniłem. - Worth wdychał świe-

ży, oszalałmijący zapach jej włosów i co chwila zanurzał usta w ich jedwabistą miękkość. - Nawet nie wiesz, ile razy chciałem po prostu do ciebie przyjść. Przeprosić za to, że pragnąłem zniszczyć w tobie to, kim jesteś, zamiast się tym cieszyć. Chciałem błagać, byś mi wybaczyła. Prosić, byś dała mi jeszcze jedną szansę.

- Wiem, że z początku rzeczywiście mnie szukałeś - powiedziała ze smutnym uśmiechem Rocky. - Dlaczego przestałeś?

- Bo zrozumiałem, że tropiąc cię, jeszcze bardziej cię od siebie odpycham.

- Tak - przyznała. - Miałaś rację. Potrzebowałam czasu, ale z początku byłam dotknięta i myślałam, że po prostu przestało ci na mnie zależeć.

- Nigdy.

Pocałował ją znowu, marząc, by w jakiś sposób mógł wymazać to wszystko z jej pamięci. Wiedział jednak, że tylko czas może tego dokonać.

- Potem uświadomiłam sobie, że otrzymałam od ciebie najwspanialszy prezent. - Rocky uśmiechnęła się, widząc w jego oczach powątpiewanie. - Tak, to prawda, bo wolność, którą mi dałeś, pozwoliła mi sprawdzić w życiu to wszystko, czego mnie nauczyłeś. Dzięki temu wydorostałam. Dopiero teraz mogę być godną ciebie partnerką.

Tego akurat nie spodziewał się usłyszeć i tym większe zrobiło to na nim wrażenie. Czekał, bo czuł, że chce powiedzieć mu coś jeszcze.

- Nie tylko ty przeżywałaś rozterki po naszym rozstaniu - mówiła dalej Rocky. - Ja też. I - dodała, kładąc rękę jego ramieniu, jakby dotykanie go było równie ważne jak to, co chciała powiedzieć - uświadomiłam sobie, że ja też muszę

przewyciężyć pewne uprzedzenia i zahamowania. Kiedy zaczęłam pracować z Dani, szybko zrozumiałam, że mogłam się od ciebie dużo więcej nauczyć.

- Dani? - To, co mówiła, było dla niego bardzo po-chlebne, ale imię, które wymówiła, wydało mu się znajome.
- Mówisz o tej rudej, z którą Chase był dzisiaj na naszym przyjęciu?

Rocky uśmiechnęła się szelmowsko.

- Dokładnie o tej, która była z Chase'em, kiedy mnie tu podwiózł.

Wiedząc, że to, co brał za cud, jest rzeczywistością, Worth odprężył się i pozwolił sobie nawet na żart.

- Widzę, że jestem ofiarą spisku.

- Naprędcę zmontowanego.

Worth ze wstydem przypomniał sobie, jak ostro potrakto-wał brata.

- Przypomnij mi, bym przy najbliższym spotkaniu bardzo go przeprosił.

- O rany! Było aż tak źle?

- Owszem. Choć, jak teraz o tym myślę, przyjął to dosyć spokojnie. Co zrobiłaś z McGuire'em, kiedy już się tu dosta-łaś? - spytał, ujmując jej dłoń i składając na każdym z palców leciutki pocałunek. - Zamknęłaś go w spiżarni?

Rocky ze śmiechem pokręciła głowę.

- Wiedziałam, że koniecznie będzie nam chciał coś ugo-tować, a ponieważ przypuszczałam, że nieprędko zaczniemy myśleć o jedzeniu, więc dałam mu wolne. Masz coś przeciw-ko temu?

- Nie mógłbym przekazać pełnomocnictw w lepsze ręce. Jesteś znakomitą znawczynią ludzkich charakterów - rzekł ze śmiechem Worth, szybko jednak spoważniał. - Kocham cię,

najdroższa. Czy chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, zanim zacznę ci udowadniać, jak bardzo?

- Tylko to, że tych kilka miesięcy rozstania przekonało mnie, jak bardzo mam ochotę eksperymentować ze wszystkim, czego mnie nauczyłeś - szepnęła, zarzucając mu rękę na szyję.

- Do końca życia?

Z uśmiechem wspięła się na palce i podała mu usta do pocałunku, który był jej jedyną odpowiedzią. Worth zadrżał, czując, jak kruszą się między nimi ostatnie mury wątpliwości i rezerwy.

- To właśnie dało mi odwagę, by tu dziś przyjść - szepnęła. - Świadomość, że jeśli się kogoś kocha, to żyje się pełnią życia tylko będąc razem z nim.

Worth przytulił ją mocno do siebie.

- Nigdy już ode mnie nie odchodź.

- Nigdy.

- Potrzebuję cię, Rocky.

- Do kobiety w takiej sukni powinienes mówić Roxanno - poprawiła go z figlarnym uśmiechem.

Worthowi natychmiast udzielił się jej dobry humor.

- Jeśli ją zdejmujemy, będziesz mogła być po prostu sobą, a chcę, żeby moja żona taką była.

- Worth... - Zadrżała, kiedy zaczął rozsuwać zamek u jej sukni. - Jesteś pewien? Nie zniosłabym, gdybyś kiedyś miał tego żałować.

- Jedyną rzeczą, jakiej będę żałował, jest to, że nie zaszłaś w ciążę po tamtej nocy w samochodzie.

W szafirowych oczach Rocky pojawiły się wesołe ogniki.

- Czy to odpowiedni moment, by ci powiedzieć, że odkaś się od ciebie wyprowadziłam, przestałam brać pigułki?

- O... tak-odparł Worth, zsuwając delikatny jedwab z jej ramion.

Potem, nie odwracając się, rzucił suknię za siebie, na kryształowy posązek. Nawet nie sprawdził, czy figurka się nie przewróciła. Jeśli o niego chodziło, to najdoskonalsze dzieło sztuki trzymał właśnie w ramionach.

scandalous